MAGAZYN O KSIĄŻKACH

DAJĘ SŁOWO

www.czasopismodajeslowo.pl
NR 5 | STYCZEŃ-MARZEC 2024

Książka jako perpetuum mobile
M. Litwinow i M. Rogalski

Nowy rok
Linda Zielińska

WYWIADY

Feminatywy –
idzie nowe czy wróciło stare?
Wywiad z Aliną Duchnowską,
rozmawia Kamila Goszczyńska

Kryzys Radosława Dąbrowskiego –
czyli jak poprzez sztukę można pokazać
kryzys egzystencjalny człowieka

Opowiadania:

Rocznica
Monika Litwinow

Olcha z Wilczej Doliny, cz. 5
Agata Kasiak powieść we fragmentach

WYWIADY | OPOWIADANIA | RECENZJE

SPIS SŁÓW

SŁOWA NUMERU

11 **Rocznica** – Monika Litwinow

36 **Nowy rok** – Linda Zielińska

40 **Olcha z Wilczej Doliny, cz. 5** – Agata Kasiak, powieść we fragmentach

69 **Feminatywy – idzie nowe czy wróciło stare? Wywiad z Aliną Duchnowską** – Kamila Goszczyńska

91 ***Kryzys* Radosława Dąbrowskiego – czyli jak poprzez sztukę można pokazać kryzys egzystencjalny człowieka** – Anna Michalik-Czarnecka

SŁOWO OSOBISTE (felietony)

7 **Książka jako perpetuum mobile** – Monika Litwinow i Mateusz Rogalski

65 **Nowe, czyli pierwsze?** – Norbert Grzegorz Kościesza

WYSŁOWIONE (opowiadania)

72 **Projekt *Galatea*** – Karolina Joanna Poniatowska

85 **Upominek** – Sława Sztorm

96 **Od nowa** – Kornelia Krawiec

105 **Szczęśliwa emerytura 2040** – Robert Drobysz

DOSŁOWNIE (recenzje)

32 **Nowatorstwo zawsze w cenie. Recenzja książki R. Filsa Aimé** – Izabela Durma

101 ***Niewyczerpany* żart Davida Forstera Wallace'a** – Wyrwa Witold

WIERSZE (wiersze/drabble)

10 **Tylko nie uwierz, że to proste** – Dobrochna Kołoczek

34 **Hymn człowieczy** – Małgorzata Jaworska

37 **Nowe** – Karolina Joanna Poniatowska

SŁOWNIK AUTORÓW (porady dla pisarzy)

108 **Pierwsza powieść. Jak pisać, aby napisać?** – Katarzyna Mróz-Jaskuła

110 **Kartka z pamiętnika pisarza** – Kamil Sobik

SAMOWYDAWCY.pl

ADRES REDAKCJI
ul. Sportowa 2/4,
55-011 Siechnice
tel. 696 071 318
redakcja.dajeslowo@gmail.com

REDAKTOR NACZELNY
Mateusz Rogalski

ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO
Monika Litwinow

ZESPÓŁ
Kamila Goszczyńska
Izabela Redesiuk
Janusz Muzyczyszyn

REDAKCJA I KOREKTA
Janusz Muzyczyszyn
Jagoda Biszkont
Ewa Hoffmann-Skibińska
Anna Michalik-Czarnecka
Edyta Patrzałek
Alicja Szalska-Radomska
Aleksandra Wołosiuk-Burda
Katarzyna Mróz-Jaskuła

SKŁAD I ŁAMANIE
Mateusz Cichosz

PROJEKT OKŁADKI
D.B. Foryś

ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Svetlana Gumerova

PRENUMERATA www.czasopismodajeslowo.pl

Witajcie, drodzy Czytelnicy!

Pozwolę sobie zacząć tak oficjalnie, ponieważ siadając do pisania tego tekstu, zdałem sobie sprawę, że nasze e-czasopismo skończyło roczek. A co za tym idzie, zdążyło już zaskarbić sobie stałych odbiorców, czyli Was.

Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że ten czas to zarówno mało, jak i dużo. Dlatego numer ten, tak jak rozpoczynający się rok, niesie ze sobą wiele nowego. Nie mówię tu tylko o piszących dla nas po raz pierwszy autorach i ich opowiadaniach oraz felietonach. Ponieważ również i ci „starzy" pisarze ambitnie zmierzyli się z tematem przewodnim tego wydania. Mam tu także na myśli wiele jeszcze nie zrealizowanych, a będących już w fazie przygotowań pomysłów, którymi mamy zamiar Was zaskoczyć na łamach kolejnych numerów.

Czytając materiał zebrany do tego numeru, zdałem sobie sprawę jak aktualne wciąż jest powiedzenie, że *kto nie idzie do przodu, ten się cofa*. Do niedawna bowiem myślałem jeszcze, że dotyczy ono przede wszystkim zagadnień związanych z technologią czy informatyką. No bo co niby nowego może wymyślić pisarz w książce i czasopiśmie, które od lat pozostają w niezmiennej formie, a czasami i treści, co miałoby wpływ na naszą rzeczywistość? Ano dużo, żeby nie powiedzieć wszystko. Celowo pominę tu wszelkie nowinki związane z malowanymi grzbietami książek, wypukłymi okładkami czy tekstami pisanymi w taki sposób, aby były widoczne jedynie pod ultrafioletem. To są jedynie upiększacze, bez większego znaczenia tak na dobrą sprawę. Ja natomiast bardziej pragnę zwrócić uwagę na treść. Przypomnę tylko, że kiedyś większość opowieści Juliusza Verne'a zaliczano do tzw. gatunku fantasy, a na tekst o podróży dokoła świata czy łodzi podwodnej gros „dojrzałych" czytelników pukało się w głowę. Równie podobna sytuacja ma się z naszymi rodzimymi

pisarzami. O tym, że Stanisław Lem przewidział czytniki e-booków, Internet, smartfon czy druk 3D, wie chyba każdy. Ale o tym, że Adam Mickiewicz w swoim niestety zaginionym dziele *Historia przyszłości* opisywał coś na kształt telewizji, wie niewielu.

A zatem jaka, i czy w ogóle, jest rola pisarza we wszechogarniającym nas rozwoju nowego? Od teraz już jestem pewien, że olbrzymia. Raczej niemożliwe jest do policzenia, jak wielu wynalazców zostało zapłodnionych intelektualnie właśnie przez przeczytaną literaturę i wyobraźnię tworzących ją autorów. Jednak jestem bardziej niż pewien, że ich liczba nie byłaby liczona w promilach, a procentach. Dlatego właśnie tak duże brzemię ciąży na barkach pisarzy, zwłaszcza tych świadomych. Tych, którzy zdają sobie sprawę, jak wiele z rzeczy przez nich stworzonych w wymyślonych światach może przeniknąć do świata realnego.

Tak że nie ma co się oszukiwać: idzie nowe, czy się to komuś podoba czy nie. I właśnie pisarze, jako jedna z nielicznych grup społecznych, starają się mu dotrzymywać kroku na każdej z możliwych płaszczyzn(?), a w większości z nich tworzyć nurty, którymi nas ono zaleje. Więc, drodzy czytelnicy, nie lękajcie się nowego, czytajcie, a będziecie na nie przygotowani.

NABÓR DO NUMERÓW W 2024 ROKU

Czasopismo „Daję Słowo” potrzebuje Waszych tekstów!
Otwieramy nabór na rok 2024 – tematami przewodnimi będą:

👉 nr 2 – „Na czarnym lądzie”, termin: 30 marca
👉 nr 3 – „Na tropie zagadki”, termin: 30 czerwca
👉 nr 4 – „W podróży do gwiazd”, termin: 30 września

Publikacja tekstów w „Daję Słowo” to doskonała reklama dla początkujących i doświadczonych autorów oraz okazja do nawiązania nowych kontaktów 🧐
Czego szukamy?

- Recenzji utworów o danej tematyce – tekstów do 6000 zzs,
- Felietonów – do 4000 zzs,
- Drabbli – 100 słów,
- Relacji z targów i wydarzeń okołoliterackich – do 4000 zzs,
- Poezji – bez limitów,
- Opowiadań – do 20 000 zzs,
- Wywiadów – do 13 000 zzs oraz nagranie z transkrypcją,
- Komiksów – forma dowolna, do 3 stron,
- bajek, bajeczek, wierszy i innych form dla dzieci 😳

Dla ułatwienia pracy redaktora i składacza prosimy o formatowanie tekstów: czcionka Calibri, wielkość liter: 12, przerwy w tekście oddzielamy trzema gwiazdkami, nie robimy wcięć w tekście tabulatorem, dialogi zapisujemy od półpauzy (CTRL i – z klawiatury numerycznej), zdań nie dzielimy w połowie ENTERem, wielokropek zapisujemy jednym znakiem (prawy ALT i kropka).

Pod tekstem prosimy o bio autora do 200 zzs i zdjęcie w dobrej rozdzielczości. Teksty nie powinny być wcześniej nigdzie publikowane i powinny nawiązywać do tematu przewodniego danego numeru.
Gotowe pliki opisujemy: „Nazwisko_imię(autora)_tytuł_tekstu”, np. „Rogalski_Mateusz_Zamki_i_Roboty”.

Zdjęcia wysyłamy w pliku tekstowym i jako osobny plik jpg z podpisem „Nazwisko_Imię”, np. „Rogalski_Mateusz”.

Teksty prosimy wysyłać na adres mailowy redakcji: redakcja.dajeslowo@gmail.com.

Zapraszamy do współpracy!!

Książka jako perpetuum mobile

Monika Litwinow
Mateusz Rogalski

Mateusz: Piąty numer. Dlaczego więc: „idzie nowe”? Nie jest to aby zaczepne i na przekór?

Monika: Z jednej strony jesteśmy po całym roku wydawniczym i z nowym rokiem w redakcji doszło do pewnych zmian, a co za tym idzie nowości. Czujemy też, że przez wzgląd na samowydawanie cały czas jesteśmy w trybie, że albo idzie coś nowego, albo trzeba pisać coś nowego, albo obserwować, żeby nie przespać tego co nowe i czegoś ważnego nie przegapić.

Mateusz: Pytanie: czy to, co jest nowe, jest wartością literacką czy marketingiem? Początek 2024 roku pokazuje, że książki muszą wyglądać i nie mówię tylko o okładce. Zewnętrzna forma, niezależnie od treści, musi przyciągać, aby czytelnik chciał kupić książkę jako coś estetycznego lub oryginalnego. Kolorowe brzegi, czcionki pisane ultrafioletem, perfumowane wnętrze, nowa szata graficzna klasycznych powieści. To wszystko sprawia, że treść książki schodzi na drugi plan.

Monika: W myśl modnego trendu eksponowania w social mediach swoich „kupek wstydu”, niepoliczalnej ilości książek, których się jeszcze nie przeczytało, a mimo to kupuje się następne, gdyż ulubiony autor nie zwalnia lub pojawia się coś bardzo modnego, co przyciągnie oko tzw. followersów.

Mateusz: Jeszcze dwa lata temu tym nowym byli Samowydawcy, bardzo nieliczna grupa odważnych pisarzy zapaleńców, którym wydawniczy rynek nie był straszny.

Monika: Myślę, że 2023 rok należał do bookstagramerów, a oni w mojej i wielu innych autorów ocenie się kończą. Teraz już nie zabiega się o przekazywanie nowo wydanej książki do kilkunastu lub kilkudziesięciu patronów, aby książka była „widoczna”.

Mateusz: To wynik dużej pracy wykonanej przez autorów. Mają coraz więcej odbiorców, którzy niezależnie i z przywiązania do twórczości chętnie o niej piszą i ją promują. Jednak, by tak się stało, sam autor musiał poświęcić temu

masę czasu i energii, niejednokrotnie samemu stając się bookstagramerem.

Monika: Widzę po naszym czasopiśmie, że, choć obchodzi dopiero pierwsze urodziny, również doświadcza zmian i nowości. Nauczeni wieloma wzlotami i upadkami pragniemy być coraz lepsi, a co za tym idzie, unowocześniać „Daję słowo".

Mateusz: Na tyle, na ile możemy, dalej będąc czasopismem non-profit. Sama wiesz, że z każdym numerem, niekiedy czując pas na tyłku, dostrzegamy potrzebę finansowania programów niezbędnych do tak podstawowych kwestii wydawniczych, jak skład i łamanie. Nawet nasze „idzie nowe" będzie skupiało się na przyciąganiu coraz liczniejszego grona patronów, a nawet poszukiwaniu reklamodawców. Widzimy więc, że nawet coś, co jest „za darmo", musi być atrakcyjne i aktualne, by czytelnicy, tak bardzo mocno zaopatrzeni w tyle treści, chcieli nas czytać.

Monika: Zauważ, jak wielu z nas ma stare książki, kupione nawet rok lub dziesięć lat temu. Wtedy bardzo chcieliśmy je przeczytać, co z różnych względów skończyło się fiaskiem. Teraz, kiedy mamy możliwości po sufit, nadal sięgamy do tego, co nowe, atrakcyjne i właśnie w tej chwili nas pociąga. Dlatego impulsywnie kupujemy książki w promocjach: to, co nas interesuje tu i teraz, choć wiemy, że za pół roku coś nowego przyciągnie nas bardziej. I nieważne, czy ty i my jako czytelnicy to przeczytamy. Rynek chce, żebyś miał. Nie czytał.

Mateusz: Kupujemy nie to, czego tu i teraz potrzebujemy, ale to, co tu i teraz nas przyciąga, lecąc jak sroki do tego, co się błyszczy.

Monika: Ale jeździsz już trzeci rok z tym samym pierwszym tytułem, jak my wszyscy. I tych czytelników nie ubywa.

Mateusz: Dlatego, że nie kupują książki, tylko mnie. Autora sprzedawcę, który potrafi starą okładką i starą treścią zainteresować nowego czytelnika.

Monika: Nie dziwi więc, że jedną z bardziej popularnych książek, które sprzedają się w ostatnim czasie, są takie pozycje jak *Mistrz i Małgorzata* czy *Duma i uprzedzenie* w wydaniu atrakcyjnym i dopasowanym do obecnych trendów. Czyli, mimo iż ważne jest to nowe, nie odrzuca się starego i klasycznego. To chyba dobrze?

Mateusz: Ważne, żeby ludzie czytali, i to, co czytają. Widać to po bibliotekach, które zamieniają się w centra kulturowe dla mniejszych i większych miejscowości. Chętnie nas zapraszają,

spotykamy się z nowymi i/lub starymi czytelnikami, prowadzimy warsztaty dla dzieci i dla dorosłych, a przy okazji prowadzimy wspólnie z biblioteką promocję czytelnictwa.

Monika: I jednak to, co nowe, z jednej strony może być szczególnie atrakcyjne, a w innych sytuacjach wręcz odwrotnie. Debiutant nie gwarantuje frekwencji, ale jeżeli przychodzi z ciekawym tematem, może przyciągnąć nowych czytelników. Może to być nowy gatunek, nowa koncepcja wydawnicza, nowy trend, odpowiedź na nowe zapotrzebowanie młodzieży.

Mateusz: I choć myśleliśmy, że o książkach wiemy już wszystko – przód, tył, kartki w środku – wciąż potrafią nas zaskoczyć. Tym, jak się zmieniają, dopasowując się do współczesnego odbiorcy.

Monika: Ergo, idzie nowe bez przerwy.

Mateusz R.M. Rogalski – prawie podróżnik, prawie pisarz, autor powieści fantasy z cyklu *Obrońcy Ahury* i bajki *Zamki i roboty*.

Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*.

Tylko nie uwierz, że to proste

Dobrochna Kołoczek

Wszystko jedno, kim jesteś, wgryź się głębiej
w bycie sobą, czyli konkretnie? Codziennie inaczej
mapa świata idei rozkłada swoje lądy

jak uboga stara kobieta (to brzmi ładniej
niż starsza pani, nawet jeśli z początku
wydaje się obelgą, trzeba się nauczyć
nosić dumnie wyrazy, którymi rzucają

nosić jak przypinki na plecaku *Vans of the Wall*
w kolorze *yellow bahama*) w każdym razie mapa świata
idei, jak uboga stara kobieta rozkłada swoje lądy
na stoisku, gdzie zaglądają nastoletnie

dziewczyny skąpane w przyjaźni i złotej godzinie
(wszystko ładnie, ale za chwilę będzie inne,
a poza tym zapłaciły po pięćdziesiąt
złotych za koszulkę *tie dye* i ten sam

hipisowski wzór nosi na dłoniach
chińska dziewczynka, która im to uszyła)

31.12.2023 r.

Dobrochna Kołoczek – poetka, laureatka kilku konkursów literackich, autorka tomiku *Ogród potocznie zwany mózgiem*. Prywatnie osoba odrobinę ekscentryczna. Uczy się języka chińskiego. Lubi herbatę, wymyślanie historii i naiwne próby zmiany świata, co można jej wybaczyć, ponieważ jest stosunkowo młoda.

Rocznica

Monika Litwinow

Czerwona skrzynka na listy metalicznie połyskiwała w lipcowym słońcu. Klara wpatrywała się w nią zza okna od kilku minut, w trakcie których trzydzieści razy skontrolowała czas na ściennym zegarze w kuchni. Jak każdego ranka towarzyszył jej ulubiony kubek herbaty, tego dnia do połowy pusty, niepełny. Gdyby nie zbliżające się spotkanie chętnie zamieniłaby jego zawartość na wino. Albo gin.

Przed bramą zaparkował znajomy, wysłużony samochód. Jak zawsze elegancko ubrany, mimo zbliżającego się upalnego popołudnia, Kazimierz wysiadł energicznie i rozejrzał się po okolicy. Po zamknięciu drzwi auta wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów. Pierwszą i zapewne nie ostatnią tego dnia fajkę odpalił ze wzrokiem utkwionym w to konkretne miejsce kuchennego okna, za którym stała Klara. Nie mógł jej widzieć, ale najwyraźniej wiedział, że tam jest.

Odruchowo poprawiła włosy i odstawiła kubek na blat. Ostatnia szansa na łyk alkoholu przepadła bezpowrotnie. Nie zamierzała rezygnować z tej drugiej zakazanej przyjemności, która czekała na nią przed domem.

– Kopsniesz fajkę? – zapytała Kazimierza, zamiast powitania.

Mężczyzna również pominął zwyczajowe uprzejmości i nad zamkniętą furtką podał Klarze otwartą paczkę i zapalniczkę. Mogłaby go wpuścić do środka, jednak widok skrzynki na listy odizolował te funkcje mózgu, które odpowiadały za przestrzeganie kindersztuby. Kazimierz nie musiał szukać punktu skupienia wzroku Klary. Doskonale wiedział, na co i dlaczego patrzy.

– Naprawdę zaprosiłaś dziennikarkę? – zapytał.

– Niezależną – odpowiedziała, wydychając dym.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie będzie o tym pisała pod kieratem.

– Myślisz, że w tej historii można być nieobiektywnym?

Klara spojrzała na niego sceptycznie. Oczywiście, że nie miał pojęcia, o czym mówi. W tych sprawach zawsze są dwie, skrajne opinie, dwa polaryzujące stanowiska, pomiędzy którymi jest niewiele miejsca na paletę szarości. Może przytakiwać i jak każdy mężczyzna mówić, że rozumie. Nie rozumiał.

Dopiero teraz otworzyła furtkę, aby dołączyć do Kazimierza przed ogrodzeniem. Bliżej połyskującej skrzynki. Śmierdzący papieros nabierał smaku. Zupełnie jakby jego oddziaływanie stawało się przyjemniejsze w gorsze dni.

– Listonoszowi też dałam znać.

Kazimierz wycelował zmarszczką między brwiami prosto w Klarę.

– Po co?

– Do zdjęcia.

– Chryste, panie…

– Robię cyrk?

– Robisz okropny cyrk.

– W porządku. – Wyrzuciła peta na kostkę brukową. – Tak miało być.

Kazimierz schował dłonie do kieszeni. Z zamkniętymi oczami odchylił głowę do tyłu, jakby próbował choć trochę odpocząć. Klara pomyślała, że wygląda na zmęczonego. Na takiego, który tak jak ona, nie przespał spokojnie minionej nocy.

– Jak ci jest na emeryturze? – zapytała, aby wypełnić nieznośną ciszę byle tematem.

– To nie takie proste, jak może się wydawać.

Klara przytaknęła na znak zrozumienia. Gdyby chciał się cieszyć końcem pracy w policji, nie byłoby go tutaj. Jednak przyjechał. Dokładnie o tej samej porze, jak każdego roku. Nie zapowiedział się, nikt mu za to nie zapłaci ani nie podda ocenie jego działań. Mimo

tego pojawił się w wolny dzień, wczesnym rankiem z paczką ohydnych papierochów. Mógłby zbijać bąki, łowić ryby, biegać czy cokolwiek innego, czym zajmują się młodzi policyjni emeryci.

Nadjechało kolejne auto, z którego wysiadła młoda dziewczyna w kraciastej koszuli. Cały jej strój wydawał się być zorganizowanym nieładem. Na nosie nosiła okulary z prześwitującymi, zabarwionymi na fioletowo szkłami. Klara pomyślała, że kiepsko chronią przed słońcem, najpewniej były tylko dodatkowym elementem jej dziennikarskiego image'u. Z tylnego siedzenia wyjęła czarny skórzany plecak, który mimo niewielkich rozmiarów wyglądał na dość ciężki.

– Sandra. – Wyciągnęła rękę do Klary. – Miło cię poznać w realu.

– Klara – odpowiedziała szybko, od razu zaplatając ręce pod piersią po powitaniu. – To jest Kazimierz...

– Kazimierz Zabłocki? – przerwała jej Sandra, po czym wyciągnęła rękę do mężczyzny. – Policjant, który nadzorował działania nad twoją sprawą?

– Kłaniam się – odpowiedział grzecznie mężczyzna.

– Czy chcecie wspólne zdjęcie do artykułu? – Sandra przystąpiła do otwierania plecaka.

– Raczej nie... – odpowiedziała speszona Klara.

– Racja, racja – przytaknęła jej dziennikarka. – Nie pasuje do tematu. Nie będziemy robić pozowanych fotek. Zdążyłam przed listonoszem?

– Zwykle przychodzi po dziewiątej – odpowiedziała Klara, która gestem ręki poprosiła Kazimierza o kolejnego papierosa.

Po wydobyciu i złożeniu w całość profesjonalnego aparatu fotograficznego Sandra przystąpiła do robienia pierwszych zdjęć skrzynki na listy. Kazimierz przyglądał się temu wszystkiemu z dezaprobatą, co nie umknęło uwadze Klary. Nie przeszkadzało jej to. Nie on był dzisiaj najważniejszy. Kiedyś może grał pierwsze skrzypce, decydował o wszystkim, zarządzał informacjami i działaniami. Teraz mógł być tylko obserwatorem. „I niewątpliwym wsparciem", pomyślała w duchu.

Zza zakrętu wyłoniła się postać ubrana w granatowy uniform listonosza. Ciężka, czarna skórzana torba ciągnęła jego ciało do ziemi, mimo tego szedł wyprostowany. Klara uprzedziła go, że tego dnia osobiście będzie odbierała listy w towarzystwie dziennikarki. Jeżeli nie życzyłby sobie zdjęć, miał ją uprzedzić, czego nie zrobił. Znał sprawę jak wielu ludzi w tym niewielkim miasteczku i mógł odmówić. Klara pomyślała, że być może, mimo przygnębiającego tła tej historii, listonosz chciałby, aby jego wizerunek znalazł się w mediach. Pokazałby go bliskim czy znajomym. Może miał dylematy, zastanawiał się, czy to by w ogóle wypadało, ale ostatecznie chęć bycia blisko opisywanych publicznie wydarzeń zwyciężyła.

– Myślisz, że go ma? – Kazimierz zapytał Klarę półszeptem.

– Co roku mam nadzieję, że już nie… – odpowiedziała w sposób, który demaskował jej niepokój. – Cały czas się łudzę, że rok temu był ostatni raz, bo być może… nie wiem. Dopadła go sprawiedliwość albo po prostu zdechł? – zakończyła za niego, wpatrując się w twarz listonosza. Wiedziała, co Kazimierz miał na myśli, ponieważ czuła dokładnie to samo. Do ostatniej chwili, którą wypełniało ciche trzaskanie, robionych przez Sandrę zdjęć, żyła nadzieją, że ten koszmar skończył się bez jej udziału dawno temu, może nawet trzysta sześćdziesiąt pięć dni temu.

Otarła z czoła pierwszą tego ranka kroplę potu. Nie znosiła upałów, wolała spędzać takie dni zanurzona w jeziorze lub w chłodnych murach zacisznego domu. Zdalna praca graficzki dawała jej dużo swobody i niezależności, więc w najbardziej nieznośne godziny mogła odpoczywać, a do pracy zasiadać wieczorem lub wczesnym rankiem, kiedy myślenie stawało się możliwe. To jednak nie był dzień na pracę ani na odpoczynek.

– Dzień dobry – powiedział wyprostowany do zdjęć listonosz.

Klara mogłaby go zapytać „czy jest coś dzisiaj do mnie?”, jak robi to zazwyczaj. Teraz jednak wpatrywała się w nieznośnie ładną, kwiecistą papeterię opatrzoną jej danymi adresowymi. Sandra pstrykała

aparatem w kierunku urzędnika, zapisując cyfrowy obraz, wrzucanego do skrzynki listu. Mężczyzna spisał się na medal. Niczego nie pomylił. Miał przyjść, wrzucić dzisiejszą pocztę do skrzynki i przy okazji dać się sfotografować z różnych perspektyw. Klara była mu wdzięczna, że nie przyszło mu do głowy pozowanie z uśmiechem.

Trwała tak kilka sekund, a może kilka minut, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. To się znowu działo, a ona ponownie musiała stawić temu czoło.

– Kluczyk?

Głos Kazimierza wytrącił ją z odrętwienia.

– Słucham?

– Do skrzynki? – kontynuował emerytowany policjant, który już miał na dłoniach lateksowe rękawiczki.

* * *

Klara trzymała się kubka z herbatą jak barierki bezpieczeństwa na bujanej przez sztorm łodzi. Pośród wystawionych wcześniej rodzynek i ciastek na stole leżał rozłożony list. Nie dotknęła go ani razu. Nie musiała. Choć nie miała pojęcia, co dokładnie jest w nim napisane, dobrze wiedziała, o co chodzi.

Sandra z nabożeństwem odłożyła aparat fotograficzny na półce między książkami i zasiadła przy Klarze na kanapie. Klara pomyślała, że w tej chwili młoda dziennikarka czuje się w jej domu najswobodniej. Kazimierz, z dłońmi opartymi na biodrach, patrzył z góry na otwarty list. Marszczył czoło na znak intensywnego obracania myśli w głowie.

– Myślę, że to już czas, aby zadzwonić po śledczych – powiedział do wszystkich i wszystkiego w pokoju, nie odrywając wzroku od dwóch zapisanych linijek na pudrowej, perfumowanej kartce. – Pismo wygląda identycznie, dzień się zgadza, treść również wskazuje na Lowelasa.

Kazimierz zawsze tak na niego mówił, choć Klarę mierził ten pseudonim. Lowelas brzmi tanio, ale nadal trochę sympatycznie

i szelmowsko. Żaden z tych przymiotników nie pasował do obrazu człowieka, który stał za bezlitosnym, corocznym rytuałem. Jego zdyscyplinowana punktualność przypominała jej wyczekane świętowanie. Celebrowanie tego, od czego to wszystko się zaczęło.

– Możesz dzwonić – odpowiedziała Klara. – Niech to zabiorą, niech coś w końcu zrobią.

– Mamy zdjęcie treści listu – dodała dziarsko Sandra. „Prymuska z pierwszej klasy", pomyślał Kazimierz. – Oczywiście nie ujawnimy jego treści, napis zostanie cyfrowo zamazany, ale jest dostępny dla wewnętrznego wglądu.

– Wewnętrznego wglądu... – powtórzyła Klara tępo. – I tak na zawsze zapamiętam jego treść. Jak pozostałych.

„3 sierpnia, godzina 2:30, Sowia.

Sz. P. Paulina Bryks"

– Dlaczego nie było policji z nami z samego rana? – zdziwiła się dziennikarka, która w międzyczasie ustawiła pionowo na stole metaliczny, niewielki dyktafon. – Przecież ta sprawa toczy się już tyle lat.

– Przyjeżdżali na początku – odparł Kazimierz. Stanął w drzwiach tarasowych i bez pytania o czyjkolwiek dyskomfort odpalił papierosa.

– Co to znaczy, na początku?

– Między szóstym a dziesiątym, może jedenastym rokiem – odpowiedziała Klara. W przeciągu ostatniego kwadransa jej twarz stężała i zszarzała. Zniknęły niepokój i stres. Ustąpiły miejsca tępej niemocy.

– Mobilizowaliśmy duże zasoby – dopowiedział Kazimierz zza futryny. – Swojego czasu obstawialiśmy nawet budynek poczty od poprzedniego dnia, aby od razu znaleźć list i natychmiast wdrożyć działania. Nigdy się nie powiodły. Jednego razu nawet nie było listonosza.

– Czyli był rok przerwy? – dopytywała dziennikarka, skrobiąc w międzyczasie notatki infantylnym, pstrokatym długopisem.

– Nie – odpowiedziała Klara. – List został wrzucony do skrzynki osobiście. Bez znaczka, a nawet adresu.

Dziewczyna zamilkła, odpowiadając sobie na kilka kolejnych pytań w myślach. Lowelas doskonale wiedział, gdzie mieszkała Klara. Był przed jej domem. Być może ją obserwował. Widywał ją na ulicy. Może nawet mówił „dzień dobry".

– Za każdym razem jednak list jest opieczętowany w innym mieście, zgadza się? – kontynuowała Sandra.

– Nigdy nie wysyłał go dwa razy z tej samej miejscowości – dopowiedział policjant. – Kilkakrotnie nawet z innego kraju.

Klara sprawiała pozory wygodnie usadowionej w wielkim fotelu, w którym na co dzień uwielbiała słuchać podcastów i malować grafiki na swoim iPadzie. Jej twarz mogła wydawać się zrelaksowana, ale jedyne co teraz czuła, to głęboki smutek i rozczarowanie. Kolejny rok. Kolejna kobieta.

Kazimierz zgasił peta w popielniczce na tarasie. Wyjął telefon i wybrał numer.

– W takim razie może zaczniemy od początku, dobrze? – zaproponowała Sandra. – Czyli co roku, tego samego dnia dostajesz anonimowy list, który jedyne co zawiera, to datę, godzinę, nazwę miejscowości oraz imię i nazwisko kobiety. Zgadza się?

– Tak.

– Czy w którymkolwiek liście było coś innego?

– Zawsze jest to samo – odpowiadała powolnie Klara.

– Nigdy nie było żadnej groźby? Żadnej sugestii?

– Nic poza tymi czterema informacjami.

– W jaki sposób odkryłaś, co one oznaczają?

– Nie wiem. Stało się to może dwa, trzy tygodnie po otrzymaniu pierwszego listu.

– Musisz mi to wyjaśnić – uśmiechnęła się Sandra. – Jakbym dostała coś takiego, pewnie bym to olała i wyrzuciła. Zapomniała.

– Mnie to nie dawało spokoju – odpowiedziała wpatrzona w jakiś punkt za oknem. – Dostałam ładny list z danymi jakiejś kobiety. Po-

myślałam, że może to niepełne zaproszenie. Zaczęłam więc szukać nadawcy listu.

– Już wtedy się zorientowałaś, że te dane nie są prawdziwe?

– Miałam kilka wątpliwości. Kiedy to wszystko się zaczęło, nikt jeszcze nie mówił, że w Internecie można znaleźć wszystko. Poszłam więc na pocztę. Dopiero tam mi powiedziano, że nie istnieje takie miasto.

– A nikt nie sprawdza szczegółowo danych nadawcy zwykłego listu ekonomicznego – dopowiedział Kazimierz po powrocie z tarasu. – Możesz go nadać z dowolnego miejsca na świecie, podając swoje domowe dane adresowe, aby w razie czego list na pewno wrócił tam, skąd został wysłany. Jeżeli ktoś nadaje list w Warszawie, a w miejscu nadawcy wpisze wymyśloną nazwę miejscowości, nikt tego nie zweryfikuje.

– I za każdym razem wpisuje te same, fikcyjne dane?

– Tak – odparła spokojnie Klara. – Choć wysyłał je z Krakowa, Łodzi, Pcimia, Berlina, Murzasichla, Woli Łaszczowej, Manchesteru...

– Ponieważ do tej pory nie zlokalizowano Lowelasa, domyślam się, że skrupulatnie przygotowywał wysyłkę.

– Brak jakichkolwiek śladów biologicznych – powiedział Kazimierz. – Włosów, DNA, odcisków palców. Jedna z naszych funkcjonariuszek poświęciła sporo godzin na odnalezienie producenta papeterii i ustalenie planu dystrybucyjnego i sprzedażowego. Do niczego nas to nie doprowadziło.

– I wrzucał je do niemonitorowanych skrzynek?

– Nie zawsze, ale na niewiele by nam się to przydało. Kiedyś nawet udało nam się ustalić dokładny dzień i skrzynkę, w którą Lowelas mógł wrzucić list. Przejrzeliśmy sporo nagrań, niestety ten trop również do niczego się nie nadał.

– Okeeeeej – Sandra wydłużyła odpowiedź na czas dokończenia notatek. – Wróćmy do tego, w jaki sposób Klara odkryła, co oznaczały te informacje.

– Jasne! – Klara odstawiła od dawna opróżniony kubek na stół. – Kiedy nie mogłam ustalić nadawcy, zaczęłam szukać wskazywanej przez niego kobiety. To też było wyzwanie. Dopiero po wpisaniu w wyszukiwarkę daty i miejscowości dotarłam do lokalnych wiadomości. Kiedy ujrzałam imię z inicjałem nazwiska, zdrętwiały mi kolana.

Kazimierz wyciągnął do Klary paczkę papierosów. Kazimierz dał Klarze Drugą fajkę przed listonoszem tego dnia. Tego roku. Pamiętała, że poprzednim razem wypaliła ich dwanaście. Obiecała sobie, że tym razem będzie ich mniej.

– Wtedy udałaś się na policję? – zapytała Sandra.

– Wtedy poznałam Kazimierza – powiedziała Klara z tarasu. – Z nim pierwszym o tym rozmawiałam.

– I jak na to zareagowałeś?

– Sceptycznie, oczywiście – odpowiedział policjant.

– Wziąłeś ją za świruskę?

– Nie nazwałbym tak tego, ale podszedłem do tematu ze sporą dozą nieufności. Obiecałem jednak zadzwonić do Kruszyna.

– To była pierwsza miejscowość?

– Tak. Szybko się wszystkiego dowiedziałem. Łącznie z tym, że sprawca został zatrzymany.

– Ale to nie był on… – powiedziała Klara z tarasu.

– Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy – kontynuował Kazimierz. – Niczego wówczas nie wiedzieliśmy.

– A kiedy przyszedł kolejny list? – dopytywała Sandra.

– Musimy sobie coś wyjaśnić – powiedział policjant stanowczo. – Kiedy dostajesz takie informacje raz do roku, gówno ci to mówi. Na początku myśleliśmy, że ktoś robi Klarze okropny żart polegający na corocznym wysyłaniu informacji, gdzie i kiedy ostatnio zgwałcono jakąś kobietę w przeciągu minionych dwunastu miesięcy.

– Przesłuchiwali mnie – dopowiedziała Klara, która wróciła na swój fotel. – Kazimierz podejrzewał, że ktoś, z kim miałam wrogie relacje, chciał mi zrobić przykrość.

– Kiedy zrozumieliście, o co tak naprawdę chodzi?

– Kiedy Lowelas zdecydował, że policja jest zbyt tępa – odparła Klara. Sandra spojrzała szybko na Kazimierza, jednak ten nie wziął tego do siebie. Przytakiwał głową na znak zgody.

– Nie rozumiem. – Sandra nabrała pełną garść rodzynek.

– Podłożył w kopercie swoje DNA – powiedział Kazimierz. – Piątego roku, kiedy nadal nikt nie znalazł uzasadnienia jego listów, podłożył nam swój materiał genetyczny.

– Co to było?

– Włos w plastikowym woreczku – dodała Klara.

– Dopiero wtedy ustaliliśmy, że jego DNA pasuje do tych znalezionych na pięciu zgwałconych kobietach.

– Niezła wpadka.

Kazimierz spojrzał na Sandrę z niechęcią. Ile gówniara mogła mieć lat? Dwadzieścia pięć? Trzydzieści? Nie znał się na pracy dziennikarskiej, ale zawsze mu się wydawało, że pismak powinien być bezstronny albo przynajmniej na takiego wyglądać.

– Dlatego, jak to powiedziałeś, „mobilizowaliście duże zasoby" dopiero od szóstego listu? – dopytywała Sandra.

– Wcześniej nie mieliśmy podstaw – powiedział lekko zdenerwowany policjant.

– Wystarczyło jej posłuchać. – Sandra wskazała pstrokatym długopisem na Klarę. – Ona od początku miała nosa.

– Nie nazwałabym tak tego – powiedziała speszona graficzka.

– Przecież od pierwszego roku próbowałaś im wytłumaczyć, że to nie jest normalne – obruszył się niespodziewanie emerytowany policjant. – Czy w artykule sprzed kilku lat nakłamano?

Klara spojrzała bokiem na Kazimierza. Ich relacja od pierwszego dnia znajomości była naznaczona dystansem i niechęcią. Z czasem to się zmieniło, jednak po opublikowaniu wywiadu dla kobiecego pisma ich stosunki uległy znacznemu pogorszeniu. Wszystko, co

pojawiło się w artykule, było prawdą, a to postawiło w złym świetle policję i Kazimierza Zabłockiego we własnej osobie.

On najwyraźniej nie chował urazy. Klara myślała wówczas, że policjant przekaże dochodzenie komuś innemu albo obróci całe zamieszanie przeciwko niej. Powiedział jej jednak wtedy, że dziennikarze nie pierwszy i nie ostatni raz wieszali swoje teksty na policyjnych błędach. To się dobrze czyta i w jego zawodzie człowiek się do tego po prostu przyzwyczaja.

– Było, minęło – odpowiedziała Klara. – Jakbym wtedy przyszła z tym do kogoś takiego jak ty, pewnie stałoby się tak, jak sama dzisiaj powiedziałaś. Kazałabyś mi to wyrzucić i zapomnieć.

Sandra postukała długopisem o notatnik.

– W porządku – odparła, poprawiając fioletowe okulary. – Czyli ile było już tych listów?

– Z dzisiejszym czternaście – odpowiedziała Klara.

– Nie trzynaście? – zdziwiła się Sandra.

– Tak, trzynaście. A co ja powiedziałam?

– Czternaście – odpowiedział Kazimierz.

– Pogubiłam się.

Klara znów uciekła spojrzeniem za okno. Może i chciała tej rozmowy. Potrzebowała dodatkowego kanału, który nagłośniłby tę sprawę, która od tylu lat nie daje jej spokoju. Jej działania na blogu www.znajdzmygo.pl mimo swojej popularności nie zdał egzaminu. Takie historie dzieją się tylko w Stanach Zjednoczonych, gdzie społeczność w sieci zrzesza się i wspólnymi siłami rozwiązuje jakąś starą sprawę.

Ale to nie była stara sprawa. Każdego roku się odnawiała. Rozdrapywała rany i dostarczała kolejnych obaw. Odświeżała pytania, na które nadal nie było odpowiedzi.

– Reasumując… – Sandra, która usiadła na kanapie jak nastolatka, ze skrzyżowanymi, gołymi nogami w krótkich szortach szukała czegoś w notatkach. – Co sierpień dostajesz informacje o gwałcie,

który miał miejsce w przeciągu minionego roku. Nadawca podaje konkretną datę, miejsce, godzinę i nazwisko ofiary. Dzięki badaniom DNA dowiedzieliście się po pięciu latach, że to ten sam człowiek… Co roku robi to też gdzie indziej, zgadza się?

– Zgadza – powiedział Kazimierz przez zęby. Policjant czuł, jak krew się w nim zaczyna gotować, nie tylko przez szybko rosnącą temperaturę. Cała ta sprawa była okropnym szambem. Niespieralną, uporczywie nawracającą plamą na jego karierze. Lowelas co roku wybierał zupełnie inne lokalizacje i czas. Nie było możliwości jakiegokolwiek zaplanowania działań. Ten zboczeniec zawsze był o wiele kroków przed całą policją. Zarówno przed nim jak i przed tą, która zajmowała się tą sprawą lokalnie.

– Od kiedy dał nam swoje DNA, sprawa nabrała tempa – mówiła spokojnie Klara. – Co roku pod moim domem i wokół poczty kręciło się sporo policji.

– Zaraz, zaraz… – przerwała jej Sandra. – Skoro już mieliście próbkę DNA, to powinniście dowiedzieć się o zbrodni dużo szybciej, prawda? Właściwie od razu po obdukcji…

– Lowelas nie popełnił błędu – powiedział Kazimierz. – Teraz po prostu był ostrożniejszy. Nie zostawiał materiału genetycznego.

– A nie jest tak, że zawsze coś zostaje? – zdziwiła się Sandra. – Przecież rozmawiamy o gwałcie, do cholery.

– Zmienił swój sposób działania – kontynuował Kazimierz. Patrzył jednocześnie na Klarę, drobną kobietkę oplatającą się ramionami. Jakby tulenie samej siebie mogło przynieść jej choć trochę ukojenia. – Wcześniej dopadał swoje ofiary na dworze albo w klubach. Po piątym roku atakował kobiety w ich własnych domach, w środku nocy, groził, że je zabije, jeżeli nie będą uległe, czego wcześniej nie robił. Po wszystkim za każdym razem kazał im się dokładnie umyć.

– Kilka razy okazywało się… – odezwała się Klara z jakimś dziwnym mrokiem w głosie – że niektóre z nich nawet nie zgłaszały gwałtu na

policji. Dochodziło do tego w środku nocy, były krępowane i kneblowane. Po wszystkim kładły się czyste do swoich łóżek, a on zwiewał.

– No, nie dziwi mnie to – stwierdziła Sandra, która zdawała się nie zwracać uwagi na tężejącą atmosferę w pokoju. – Statystycznie bardzo wiele kobiet tego nie robi. Rozumiem, że wychodziło to na jaw dopiero wtedy, kiedy dostawałaś ten list?

– Dokładnie – odpowiedziała Klara. – Niewykluczone, że Paulina Bryks z Sowii już się z tym pogodziła. Data wskazuje sierpień. Prawie rok temu... Gdzie jest ta policja, do cholery? – skierowała ostro pytanie do Kazimierza.

– Pozostaje jeszcze jedno najważniejsze pytanie – powiedziała Sandra. Klara obróciła mokre od łez oczy w stronę dziennikarki. – Wiem, że w grę wchodzą niepojęte dla mnie emocje, ale im szybciej przez to przebrniemy, tym szybciej zostawię ciebie, was w spokoju, aby wrzucić tekst w eter. Czy nie tego chciałaś?

– Chciałam. – Klara przetarła oczy. – Nadal chcę.

– Zapewne zadajesz sobie to pytanie od trzynastu lat, może więc udało ci się znaleźć, chociaż trop do udzielenia na nie odpowiedzi. Dlaczego ty?

– Dlaczego te listy przychodzą do mnie? Dlaczego ten sukinsyn co roku robi ze mnie jakiś cholerny przekaźnik informacyjny, przez który policja się dowiaduje, że zaatakował kolejną ofiarę?

– Dokładnie, dlaczego? Z tego co wiem, nigdy nie zrobił tego w tym mieście ani nawet w jego okolicy.

– Nie wiem.

– Może w jakiś sposób znałaś te dziewczyny? Czy nie są ze sobą jakoś powiązane? To samo miejsce zamieszkania w dzieciństwie? To samo wykształcenie? Ta sama grupa na Facebooku chociażby?

– Nie ma żadnego powiązania – powiedział Kazimierz ze zwieszoną głową.

Mimo niezwykle jasnego przedpołudnia, niebieskie światła radiowozu wpadły do domu przez kuchnię z taką jasnością, że wszyscy

jednocześnie zwrócili na nie uwagę. Nie było słychać syreny. Klara pomyślała, że sygnału dźwiękowego używa się tylko do spraw, które są palące. Ta od wielu lat nie była już priorytetowa.

– Może przerwa na fajkę? – zaproponowała Sandra.

* * *

Klara paliła trzeciego, czwartego i piątego papierosa na ławce w cieniu wierzby za swoim domem. Odpowiedziała na kilka takich samych pytań, które tym razem zadawał ktoś inny. Młody funkcjonariusz wydawał się przejęty. Znał sprawę, jak wszyscy w tym mieście, jednak nikt już nie podchodził do niej z takimi samymi emocjami, jak jeszcze kilka lat temu. Jak Kazimierz Zabłocki.

Zabrano list. Sandra zrobiła kilka ostatnich zdjęć. Zapytała Klarę, czy jest coś, co chciałaby powiedzieć Lowelasowi bezpośrednio, gdyby się okazało, że będzie czytał ten artykuł. Klara zastanawiała się nad tym chwilę, po czym pokręciła głową. Poprosiła tylko o zamieszczenie informacji o jej blogu, na którym stale go poszukuje. Jeżeli miałby się czegokolwiek dowiedzieć na swój temat, to właśnie tam.

Kazimierz rozmawiał jeszcze z funkcjonariuszem. Klara postanowiła pierwszy raz tego dnia sprawdzić swój telefon. Był na nim tylko jeden SMS, którego się spodziewała.

„Czy w tym roku powiesz im wszystko?"

Krzysztof, jej brat, który na stałe mieszkał w Japonii, co roku wysyłał jej to samo pytanie. No właśnie, czy w tym roku powiem im wszystko?

Kazimierz przysiadł na ławce obok Klary. Zabrał od niej swoją paczkę fajek, ale już nic w niej nie było.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie szkodzi. Wziąłem zapasową.

Co roku ten sam rytuał. Te same zachowania. Spotykali się, otwierali list, rozmawiali o Lowelasie, przekazywali sprawę dalej, wypalali

prawie dwie paczki fajek i tyle. Co roku uczestniczyła w śledztwie mniej lub bardziej, ale ostatecznie kurz opadał i pozostawało czekać na kolejną rocznicę.

– Jak się trzymasz? – zapytał.

– Jako tako – odpowiedziała. Czuła się lżej, złe emocje z niej uchodziły. Teraz był czas na dochodzenie do siebie, powrót do rytmicznego, spokojnego życia i samodzielne, amatorskie działanie, które być może pewnego dnia zbliży ją do odnalezienia gwałciciela.

– Wiesz, dlaczego pisze te listy? – zapytał.

To było coś nowego. Zgodnie ze starym rytmem Kazimierz powinien powiedzieć, żeby Klara o tym za dużo nie myślała i skupiła się na własnym życiu i pracy. Jak zwykle zapytałby, czy kogoś ma i czy ma jakieś plany na wakacje.

– Dlaczego wysyła przypadkowej kobiecie informacje o swoich przestępstwach? To chyba nigdy nie było zagadką, prawda?

– Jasne, wszyscy wiedzieliśmy, że chciał atencji. Potrzebował zwrócić na siebie uwagę.

– Dlaczego więc pytasz?

– Pamiętasz, zawsze nas zastanawiało, dlaczego nie wysyłał tych listów bezpośrednio na policję, jeżeli tylko chciał zwrócić uwagę na swoje zbrodnie. Trochę o tym poczytałem i wydaje mi się, że to by było najbardziej logiczne. Policja zrobiłaby wokół tego szum, może nawet wdrożyła niekonwencjonalne działania, aby nawiązać z nim kontakt, jak podczas sprawy mordercy BTK albo Zodiaka. Nie wiem, czy o nich słyszałaś.

– Nie bardzo.

– W każdym razie największą zagadką w tej sprawie zawsze byłaś ty.

– Wiem o tym. Były czasy, że bardzo chamsko dawałeś mi to do zrozumienia.

– Zgadza się i jednak nie będę za to przepraszał. Taka moja praca.

– Naprawdę? Do teraz uważasz, że mogę mieć coś wspólnego z tymi okropnymi gwałtami? – Klara wstała rozzłoszczona z ławki. – Jak możesz mnie w ogóle o to posądzać?? Po tylu latach?

– Właśnie. Za to mogę przeprosić – odpowiedział ze spokojem, wpatrując się gdzieś przed siebie.

– Nie rozumiem.

– Przez te wszystkie lata podejrzewałem cię o jakiś współudział.

– Do jasnej cholery, Kazimierz!

– Dzisiaj już wiem, że się myliłem.

Zapanowała gęsta cisza. Klara wpatrywała się w irytująco spokojną twarz policjanta. Miała ochotę płakać i na niego krzyczeć. Oczywiście, że nie rozumie. Oni nigdy nie rozumieją.

– Co to znaczy, że dzisiaj już wiesz? Co wiesz?

– Emerytura daje policjantowi nowe możliwości czasowe, rozumiesz? Do tej pory miałem zawężone pole widzenia. Może przez ludzi, z którymi pracowałem, może przez inne sprawy, którymi jednak cały czas też się zajmowałem. Może po prostu Lowelas tak regularnie wysysał ze mnie soki, że po tak długim czasie straciłem do tego serce. Co rok to samo, żadnych nowych tropów ani śladów. Jestem przekonany, że teraz będzie dokładnie tak samo.

Klara usiadła z powrotem na ławce i uważnie słuchała każdego słowa policjanta. Uspokoiła się i coś jej podpowiadało, że on już wie. Kazimierz zna prawdę i za chwilę uwolni ją od tej okropnej męczarni.

– Mógłbym ci opowiadać, jak wiele bezproduktywnych dni spędziłem przez pierwsze tygodnie emerytury, ale to dość kompromitujące. Jedyne, do czego moje myśli wracały, to sprawa Lowelasa. Zadawanie sobie tych samych pytań na nowo, bez końca. Aż pewnego dnia coś do mnie dotarło.

– Co takiego? – zapytała Klara z nadzieją.

– Że tu cały czas chodziło o ciebie.

– Już ci mówiłam, że nie mam pojęcia, kim on jest i kim są te kobiety. Gdybym wiedziała, na pewno bym ci powiedziała!

– Jestem przekonany, że mówisz prawdę.

– O co więc chodzi?!

– O czternasty list. Bo był czternasty list, prawda? A właściwie to pierwszy.

Klara nie odrywała wzroku od spokojnego profilu Kazimierza.

– Nie rozumiem, co masz na…

– Wiedziałem o tym już wcześniej. Odkryłem to dawno temu. To, że się dzisiaj podłożyłaś, jedynie mnie utwierdziło w przekonaniu o prawdziwości mojego odkrycia.

– Nadal nie rozumiem…

– Wiem, że to bardzo trudne, dlatego będę mówił hipotetycznie. – Odwrócił się do niej i spojrzał jej głęboko w oczy. – Załóżmy, że kiedy miałaś szesnaście lat, zostałaś zgwałcona. – Po plecach Klary spłynęła lodowata strużka potu. Czuła, jak jej dłonie stają się zimne, nieadekwatnie do panującego upału. – Nie usunęłaś ciąży. Zostawiając dziecko w szpitalu, powiedziałaś położnej, że nawet gdyby ci na to pozwoliło prawo, nie zrobiłabyś tego. Jedyne, co zostawiłaś chłopcu po sobie, to list do rodziców adopcyjnych, w których wyjaśniasz, że mimo iż dziecko jest owocem gwałtu, chcesz, aby wiodło szczęśliwe życie. Hipotetycznie. Nagle po osiemnastu latach dostajesz pierwszy list na strojnej papeterii. List, który coś wyjawia, jeszcze nie wiem co. Jednak już następnego roku wiesz, że osoba, która za tym stoi jest z tobą związana i wiesz dlaczego. Przypuszczam, że była to informacja od twojego dawnego oprawcy, który postanowił się ujawnić, uaktywnić, nie wiem, jak inaczej to nazwać. Wiesz już jednak, że to ten sam człowiek. Nie zgłosiłaś gwałtu na policję osiemnaście lat temu, co swoją drogą otworzyłoby ci możliwość na usunięcie ciąży. Postanawiasz zrobić to teraz i usilnie próbujesz przekonać jednego z nich – Kazimierz wskazał na siebie – że to poważna sprawa i należy się temu przyjrzeć. Robisz to co roku. Ostatecznie tworzysz swojego bloga, co pozwala mi zrozumieć wszystko w pełni. Mimo że zaangażowałaś policję, postanowiłaś nie ujawniać swojego powiązania ze

sprawcą. Zastanawiałem się, dlaczego? Odpowiedź stała się prosta. Postanowiłaś samodzielnie go odnaleźć i teraz dopełnić zemsty za to, co ci zrobił już trzydzieści dwa lata temu.

Klara spuściła głowę. Płakała przez chwilę, na co Kazimierz zareagował odruchową troską i pogładził ją po plecach.

– Nikt nie miałby do ciebie o to pretensji – mówił dalej. – Niczego by to nie zmieniło, gdybyś nam o tym powiedziała. Może ten dodatkowy trop pozwoliłby go złapać nieco szybciej...

– Nic nie zrozumiałeś – powiedziała. Otarła łzy i spojrzała na niego. Złapała go za rękę, wstała i zaprowadziła przez taras do domu. Puściła go przy parapecie pod oknem, w które tak często się wpatrywała podczas rozmowy z Sandrą. Stały na nim dwa kwiaty i wielka, okrągła, zamykana drewnianym wiekiem z góry świeca w grubym szkle. Kazimierz kupił kiedyś taką w prezencie żonie. Jej wyjątkowy zapach był tym trwalszy, o ile zamykało się ją po zgaszeniu. Cena tego babskiego atrybutu była nieadekwatna do faktycznej wartości perfumowanego wosku w szkle, natomiast wprost proporcjonalna do sumy godzin, przez które się paliła. Mniej więcej złotówka na godzinę.

Klara odsłoniła krótką firanę i otworzyła wieko. Świecę zużyła lata temu, ale zostawiła ją z resztką pachnącego wosku na dnie. Pozbyła się zwęglonych resztek knotów i zostawiła szklany walec na widoku jako ozdobną kryjówkę dla jej największej tajemnicy. Wyciągnęła z niej złożoną na kilka części kartkę. Podała ją Kazimierzowi i wskazała ręką na kanapę. Policjant zaskoczony i podekscytowany zarazem, chciał sięgnąć po gumowe rękawiczki z kieszeni.

– To zostanie między nami – powiedziała Klara stanowczo. Kazimierz wiedział, że skoro trzyma pierwszy list w ręce, będzie mógł zrobić z tym, co zechce. Klara nie mogła już stawiać żadnych warunków, ale najwyraźniej nie o to jej chodziło. Powiedziała, że to zostanie między nimi w taki sposób, jakby mówiła oczywistą rzecz, tylko on jeszcze o tym nie wiedział.

Kazimierz usiadł i delikatnie rozłożył napisany ponad czternaście lat temu list. Choć nie wiedział, co tam zobaczy, czuł całym sobą, że to jest odpowiedź na wszystkie jego pytania. Dowie się, kim jest Lowelas i ten wieloletni koszmar się skończy. Przestanie uciekać przy rodzinie myślami do odległych miast, w których zgwałcone kobiety goiły swoje psychiczne i fizyczne rany. Przestanie pielęgnować w sobie gniew. Zakończy się to duszące uczucie niemocy.

– Co to ma być? – zapytał zaskoczony. Po rozłożeniu kartki zobaczył wydruk z wieloma kolumnami i cyframi. Zamgliło mu przed oczami. Tego na pewno się nie spodziewał. – Co to ma, kurwa, być?

Klara wyjęła ze starej, perfumowanej świecy drugą złożoną kartkę. Różową, w ozdobne kwiatki. Podała ją Kazimierzowi, który chwycił ją jak szklankę wody po trzech dniach na pustyni. Szybko ją rozłożył i zobaczył dwie znajome linijki. Wypuścił ciężko powietrze. Była data, godzina, miejscowość, imię i nazwisko. Spojrzał na Klarę, u której szukał zrozumienia. Wskazała mu poprzednią kartkę. Nie rozumiał, ale wziął ją ponownie do ręki. Klara wyszła na chwilę, po czym przyniosła butelkę rumu i dwie szklanki. Przeczytał wydruk, podnosząc raz po raz wzrok na kobietę, która nalała niewielką ilość trunku do naczyń.

– Widzisz – zaczęła – to prawda, że trzydzieści cztery lata temu pewien stary zakapior z mojej szkoły mnie wykorzystał. Nie wiem, jak odnalazłeś historię oddania chłopca do adopcji, jak udało ci się porozmawiać z moją położną, ale to wszystko prawda. Prawdą jest też to, że po otrzymaniu tego listu czternaście lat temu zamarłam w przerażeniu na widok dokładnego czasu i miejsca tego, co się wtedy stało. Pomyślałam, że mnie znalazł i postanowił mnie teraz nękać. To był okropny rok. Wypatrywałam go wszędzie, czułam się obserwowana przez lodowate widmo przeszłości. Historia, która miała pójść w zapomnienie, o której nie myślałam przez ponad osiemnaście lat, wróciła z niewypowiedzianą groźbą.

Kazimierz trzymał obie kartki w dłoniach. Oparł się o kanapę zmęczony. Klara postawiła przed nim szklankę z rumem, po czym sama upiła mały łyk ze swojej.

– Kiedy przyszedł drugi list wskazujący na kobietę z Kruszyna, od razu wiedziałam, że to się powtórzyło. Brak rocznika przy dacie dał mi do zrozumienia, że musiało się to wydarzyć w tym długim czasie, ale po sprawdzeniu informacji w Internecie okazało się, że zrobił to na przestrzeni minionego roku. To było jak kubeł zimnej wody. Musiałam iść na policję, ale bałam się, że on ciągle jest w pobliżu. Postanowiłam więc nie mówić ci o pierwszym liście. Pamiętasz? Wziąłeś mnie za nadgorliwą i przewrażliwioną singielkę, która szuka dziury w całym. Co miałam zrobić? – Kolejny łyk. Kazimierz się do niej przyłączył. – Dostawałam listy, przekazywałam je tobie i czekałam, aż to rozwiążecie, pewna, że to nie potrwa długo. Ale lata mijały. Postanowiłam więc sama go poszukać, chociaż nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Czemu przez tyle czasu niczego nie powiedziałaś?

– Nie wiem. Ze wstydu? Ze strachu? W końcu z rozczarowania, ponieważ znalazłam tego drania. Na cmentarzu. Nie żył od bardzo dawna, zmarł na kilka lat przed pierwszym listem.

– To wtedy wpadłaś na to? – zapytał, podnosząc wydruk do góry.

– Dokładnie wtedy, ale mogłam to zrobić dopiero dwa lata później. Odkryłam prawdę po czwartym, a dla ciebie trzecim liście.

– Ale w jaki sposób?

– Widzisz różnicę? – zapytała, po czym wskazała palcem na jedną literę zapisaną na różowej papeterii. Kazimierz przeczytał treść na głos.

„18.05, godzina 13:10, Giewnik.

Sz. M. Klara Popioła”

Kazimierz odłożył dwie kartki na stół. Wskazana przez Klarę literka „M” i wyniki laboratoryjne złożyły się ze sobą w doskonałą, satysfakcjonującą całość.

– Nie zwróciłam na to wcześniej uwagi, ale po odkryciu śmierci mojego oprawcy na świecie pozostał jeden człowiek, który wiedział o tym, co mi się przytrafiło, a mógł być z tym związany na tyle osobiście, aby karać mnie przez kolejne trzynaście lat.

– Uważasz, że on cię karze?

– A myślisz, że jest inaczej?

Oboje zawiesili broń. Każde siedziało z pustą szklanką w dłoni.

– Powiedzenie wam o tym niczego by nie zmieniło…

– Jak to nie? Mogliśmy go namierzyć dawno temu. Po rodzicach adopcyjnych…

– Już to zrobiłam – przerwała mu. – Wiem, że nie znam się na policyjnej robocie, ale wyrzucili go z domu, kiedy molestował swoją przyrodnią siostrę. Zanim trafił do kolejnej rodziny zastępczej, zwiał. Policja już wtedy próbowała go odnaleźć, ale nigdy im się to nie udało.

– Mnie by się udało – powiedział policjant stanowczo. – Mogę odnaleźć twojego syna.

– Teraz, kiedy masz te informacje pewnie tak – powiedziała Klara ze smutkiem. – Czy pozwolisz mi na jeszcze jeden drink, zanim mnie odstawisz na komisariat za utrudnianie śledztwa?

Kazimierz złożył wyniki badań DNA wskazujące pokrewieństwo Klary z Lowelasem i schował je do szklanego walca po świecy.

– Obędzie się bez tego – odparł sucho i wyszedł bez dalszych wyjaśnień.

Nie rozumiał. Mężczyźni mogą mówić, że wiedzą, o co chodzi, ale nie mają o tym wszystkim bladego pojęcia.

Monika Litwinow – autorka kryminałów i bajek terapeutycznych, zastępczyni redaktora naczelnego w czasopiśmie literackim „Daję Słowo", autorka i współprowadząca podcastu „Wydaje mi się", redaktorka czasopisma „Zajęcia z Psem", autorka artykułów dla rodziców i nauczycieli w czasopismach szkolnych i przedszkolnych

Nowatorstwo zawsze w cenie. Recenzja książki R. Filsa-Aimé *Wbrew regułom gry*

Izabela Durma

Choć przez lata istnienia konsol do gier wideo wiele firm chciało uszczknąć swój kawałek tortu, obecnie na rynku pozostało jedynie trzech dużych graczy – Sony, Microsoft i Nintendo. Mimo że ostatnia z wymienionych firm bywa kojarzona z familijną rozrywką, mocno zakorzeniła się w świadomości graczy, wydając silne franczyzy. O sukcesie Nintendo zdecydowało wiele czynników, lecz jednym z przodujących z pewnością byli ludzie, często z bogatym życiowym doświadczeniem, zdeterminowani, by odnieść sukces. O tym, jak ze zwykłego chłopaka z trudnego środowiska dostać się na szczyt, dowiecie się z opowieści Reggiego Filsa-Aimé *Wbrew regułom gry.*

Historia byłego prezesa amerykańskiego oddziału Nintendo stanowi jego zawodową autobiografię. Mężczyzna przedstawia swoje doświadczenia, wynikające z pochodzenia z rodziny imigrantów. Wskazuje, jak ważni byli dla niego bliscy, w tym dziadkowie, którzy pozostali na Haiti. Następnie przeprowadza czytelnika przez pierwsze kroki edukacyjne i zawodowe, omawia kolejne etapy swojej kariery, którą kończy jako gruba ryba elektronicznej rozrywki. Choć na jego drodze nie brakowało przeszkód, obyło się bez nadmiernego użalania się nad swoim losem. Autor wskazuje, że naprawdę z każdej pozycji na świecie można dojść tam, gdzie osoby mające lepszy start.

Opowieść Reggiego Filsa-Aimé można czytać nie tylko jako fabułę. To także ciekawy poradnik, jak można dążyć do samorozwoju i realizacji celów. Autor szczędzi moralitetów i rad o wczesnym wstawaniu z łóżka, joggingu i uśmiechu, choć, jak podkreśla, bez ciężkiej pracy niewiele się uda osiągnąć. W wielu miejscach książki można znaleźć wyróżnione fragmenty opisane mianem „Co z tego". W tych rubrykach narrator wskazuje, jakie cechy czy zachowania pozwoliły mu lepiej funkcjonować w tym niełatwym biznesie. To ciekawe wyimki, do których można wracać, gdy już pozna się historię głównego bohatera.

Autor daje pewne podpowiedzi, ale nie robi tego protekcjonalnie z pozycji

alfy i omegi. Otwarcie przyznaje się do błędów i tego, jak sobie z nimi radził, co także stanowi wartość dodaną publikacji. Co więcej, nawet jeśli ktoś nie interesuje się grami i ichnimi rynkami, z zaciekawieniem będzie wertować kolejne strony, gdyż były prezes cierpliwie wszystkie te meandry tłumaczy. Nikt nie poczuje się zagubiony, nawet jeśli jest zupełnym laikiem w tym temacie.

Cała historia jest wyważona, co sprawia, że poznajemy krok po kroku karierę Reggiego bez zbędnych przedłużaczy. Niewiele informacji dotyczy jego życia osobistego. Pojawiają się syn czy była żona, ale już szczegółów rozpadu małżeństwa się nie uświadczy. Książka wydaje się mieć niewielką objętość, ale to efekt małej interlinii. Choć ma niecałe 200 stron, zdecydowanie nie jest pozycją na jeden wieczór. Co więcej, jeżeli sami chcielibyście wejść w jakiś biznes i szukacie wsparcia, będziecie do niej często wracać.

Można odnieść wrażenie, że miejscami historia jest zbyt ugrzeczniona. Autor opisuje swoją wymianę zdań z Iwatą, dyrektorem japońskiego oddziału Nintendo, szefem wszystkich szefów. Spór dotyczył ceny konsoli, która miała ujrzeć światło dzienne i powalczyć z gigantami pokroju Sony i Microsoftu. W *nomen omen* grze znajdowały się ogromne pieniądze, zatem trudno uwierzyć, by panowie w tak szybkim czasie i względnie pokojowym nastroju doszli do wspólnej decyzji, która zresztą okazała się nietrafiona.

Wbrew regułom gry to porywająca opowieść o ambicji i sukcesie, które osiąga się dzięki współpracy, a nie kosztem innych. Motywuje do odważnego planowania bez względu na to, jak podobne działania kończyły się w przeszłości. Z pewnością ma na tyle uniwersalny charakter, by móc dostosować ją do własnych doświadczeń.

Izabela Durma – katechetka, fanka piłki nożnej, książek i gier wideo.

Hymn człowieczy

Małgorzata Jaworska

Och, jak pięknie, jak wspaniale
uczestniczyć w ludzkim szale!
Szala, ta ze złym uczynkiem,
z wolna spada, my zaś z winkiem
uwielbiamy (aż mam ciarki)
wciąż opróżniać nasze barki!
Winko? Jasne. Wina? Skądże!
Upijamy się, lecz mądrze,
choć mądrością nie grzeszymy –
mądrość ogranicza czyny.
Grzechy nasze zgoła inne:
czasem rzadkie, czasem płynne.
Płynnie oceniamy ludzi,
rzadko zaś w nas żal ktoś wzbudzi.
Z nas są przecież wielkie głowy.
Mózg nam działa do połowy.
Drugą z połów, wiecie sami,
zatruwamy tabletkami.
Ta na bóle, ta na cerę,
ta na uśmiech. Jest ich wiele.
Ale wszystko bardzo skrycie,
uwielbiamy mianowicie
skrywać nasze złe skłonności

pod postacią jawnej złości.
Choć kochamy zabijanie
(czasu, gdy czas na czekanie
albo siebie, fajna sprawa),
to niesłuszna jest obawa,
że się w końcu wykończymy.
Siebie zawsze obronimy.
Jeśli już, to może Ziemię
zniszczy nasze ludzkie plemię,
gdyż jesteśmy dość nieziemscy,
by wyjść z tego jak zwycięzcy.
Świat posunął się do przodu.
My też nie zwalniamy chodu.
Chód przemienia się w wyścigi
o złapanie wyższej ligi.
Kto na mecie pierwszy stanie,
ten wygrywa umieranie,
lecz w niewiedzy i uśmiechu,
które schwycą go w bezdechu.

Małgorzata Jaworska – ukończyła studia pisarskie na UŚ. Prowadzi stronę internetową z blogiem, prozą i poezją – pisarzowiczka.pl – oraz poetyckie konto na Instagramie: @wierszykowniaa. Aktualnie pracuje w SEO.

Nowy rok, stara ja

Linda Zielińska

Czy zmiana daty, rozpoczęcie nowego roku jest odpowiednim momentem na modyfikacje? Czy to oznacza, że idzie nowe?

Często słyszę, że to czas podsumowań, zmian, planów i rozpoczęcia nowych przedsięwzięć (które, swoją drogą, często spalają na panewce 😊).

Jestem zdania, że często odczuwamy wielkie emocje w związku z czymś, co ma nadejść. Towarzyszy nam ekscytacja, ale też obawa. Co by było gdyby?… Gdyby na przykład się nie udało. Wiem, nie można zakładać najgorszego, ale warto być realistą. Wyznaczanych „postanowień" permanentnie nie udaje się zrealizować. Nie oznacza to, żeby nie wyznaczać sobie nowych, wyższych celów, ale czy trzeba to robić z takim rozmachem? Może warto dojść do meritum małymi krokami?

Sama najlepiej, najbardziej komfortowo czuję się w sytuacjach mi znanych co nie oznacza, że tkwię w bańce. Jest mi źle, zmieniam, modyfikuję to, co mi przeszkadza. Nie raz, nie dwa słyszymy od rodziny czy znajomych, że powinno się wiedzieć, czego się chce i do tego dążyć. Owszem, niezwykle istotna jest konsekwencja w czynach, ale zdrowa konsekwencja i przede wszystkim do tego, co sprawia nam przyjemność. Wiadomo, życie często weryfikuje nasze wybory, często też nie do końca zależnie od nas.

Wierzę, że podstawą w wyjściu ku nowemu jest próbowanie tego na własnych zasadach, w odpowiednim dla siebie czasie i robienie tego bez przymusu czy presji. Po prostu realizowanie swoich pasji, a nie rzucanie się na głęboką wodę, bo tak robią wszyscy 😊.

Czy warto próbować nowych rzeczy? Ano owszem, bo jak inaczej dowiemy się, co tak naprawdę jest dla nas odpowiednie?

I tego Ci Czytelniku życzę! Odwagi do próbowania i niełamania się porażkami, bo one są nieuniknione 😊.

Linda Zielińska – w 2021 roku ukazała się jej debiutancka powieść *Tego Ci nie powiem* oraz opowiadanie pt. *Wdzięczność dla narodu* w antologii *Mroczne Pomorze. Opowiadania z dreszczykiem*. IG: @linda.zet

Nowe

Karolina Joanna Poniatowska

Nadchodzi zima, a z nią nowy rok,
sennie otula nas długich nocy mrok.
Białe śniegi spadają, kryjąc ziemię w ciszy,
Chcę to uwiecznić w pamięci swej kliszy.

Śniegi padają, padają bielą,
świat wokół przyoblekają chłodną pościelą.
Puch miękki, skrzący i czysty,
opodal rozciąga się mural szklisty.

Mroźny krajobraz niesie za sobą magii czar,
doświadczyć cię taką to prawdziwy dar.
Idzie nowe, na rozkwit życia czekamy,
Nowy rok wita nas, smutki z siebie zrzucamy.

Idzie nowa zima, a wraz z nią nowe nadzieje,
Zimowe czary sprawią, że nic ich nie rozwieje.
Niech przeminie dotychczasowa melancholia,
zimowy puch spoczął na świerku jak perłowa kolia.

Zachwycają nas na oknach ze szronu tulipany.
Nowy rok, nowa droga, nowe marzenia i nowe plany.

Wszystko się zmienia, ale pamięć pozostaje,
Czas zimo na twój koniec, na nasze rozstanie.

Każdy z nas czuje w sobie tę moc.
Chce stworzyć coś pięknego w tę ostatnią noc.

Witaj nowy roku! Witaj zimowe oto my!
Tworzę wciąż nową historię, obok mnie jesteś ty!

Nazywam się Karolina Joanna Poniatowska. Urodziłam się 2 września 1989 roku i mieszkam w Płocku. Jestem absolwentką Uniwersytetu Wrocławskiego. Tworzenie opowiadań i ich spisywanie jest moją pasją

Olcha z Wilczej Doliny

Rozdział V Utopiec

Agata Kasiak

Pierwszy śnieg zaścielił dolinę w połowie jesieni. Szczęśliwie nie przyszedł z nim jakikolwiek przymrozek, więc nie utrzymał się długo. Był jednak znakiem, że pora opuścić letnie domostwa i udać się w zwartą osadę. Przyspieszono przenosiny i od tamtego dnia drogę wiodącą do bramy nieustannie żłobiły liczne wozy i tragace, błoto zaś rozrabiały w coraz głębsze bagno racice pędzonych w wiaty krów, owiec i świń. Duża część opasów miała nie doczekać wiosennego wygonu i nigdy z osady nie wrócić. Gromadzono też mięso wszelakiej postaci – sproszkowane, suszone i wędzone. Zboże i siano, a także owoce zwieziono już w lecie, gromadząc w spichlerzach, zadaszonych kopach i ziemiankach. Osada leżała nad jeziorem, zapewniając mieszkańcom dostęp do wody, a w razie niebezpieczeństwa, miała też własną, murowaną studnię. Drogi między długimi chatami krytymi trzciną wyścielały zbite konstrukcje bierwion, zabezpieczając mieszkańców przed błotem wewnątrz osady. Domy ciągnęły się po całej rozpiętości obwałowań, równolegle wobec siebie. Od pokoleń poszczególne segmenty dzieliły te same rodziny, gnieżdżąc się w ciasnocie, ale i we względnym bezpieczeństwie. Na czas zimy w dolinie zapadał jeszcze bardziej przestrzegany niż latem pokój, bowiem kradzieże i nieobyczajność, jakakolwiek uciążliwość – groziła wygnaniem. A to wśród połaci lodu, gór i bezwzględnej natury, to równało się ze śmiercią.

Noce późnej jesieni spędzano już w osadzie i nikt nie chciał zostawać w rozproszonych domostwach po zawarciu bramy. Wcześniej zapadające ciemności wypełniał huk wiatru smagający Góry Północy i wycie zgromadzonych w stada wilków.

– Głodne – warknęła wiedźma w jednej z izb, którą dzieliła tylko ze swym wychowankiem.

Rzeczywiście wataha z kolejnym śniegiem podeszła wyjątkowo blisko osady, szukając najwyraźniej pożywienia wśród niestrzeżonych i opuszczonych letnich chat. Zawodzenie rozsierdziło niektóre psy w zawartej osadzie, inne sparaliżowało strachem.

– Niech se co złowią, wyjce leniwe – zamruczała znów Olcha. Pogłaskała głowę osowiałego Wilka.

Od zamieszkania w zimowej osadzie wilkarski chłopak trzymał się jej niczym pies, nieswojo się czując wśród tak ciasno nagromadzonych ludzi. Kiedy tylko była sposobność, uciekał na wały i wdychał zapach otwartej przestrzeni, tęskniąc za nią. A potem wracał między chaty i starał się schodzić ludziom z oczu. Tak trwał.

– Śniegu dosypało? – zagaiła go wiedźma ze swojego bujanego fotela obłożonego futrami.

– A jakże, pani, i to nie mało – odparł. – Ale chmury przeszły i niebo zieje gwiazdami. Księżyc okrągły wschodzi za górami. Bystry, pani. Aż mrozem czuć pod niebem.

– Pełnia. Taaak. – Stara huśtała się w zadumie. – Zmrozi niechybnie. Trza by czuwać w noc przy ogniu, by nikt nie zamarzł w nocy. Wilki nie po próżnicy poschodziły z gór w dolinę. Zima srożeje. Ech, nienawidzę jej. Do Szczodrych Godów daleko, co dopiero do końca tego podłego czasu.

Znów zagłębiła palce w lokach wilkara. Bawiła się nimi bezwiednie.

– Jakoś mnie wierci w trzewiach złowieszczo – wymamrotała posępnie.

– Po pęcaku, pani?

– Gorzej, bączku. – Zmarszczyła brwi nie na żarty. – Coś złego włazi w nasz świat. Przepełnia noc. Nie jesteśmy już sami w dolinie. Czuję to.

– Żywe czy martwe, pani? – spytał cicho.

– I żywe. I martwe. A jednocześnie: ni to żywe, ni to martwe.

Zapatrzyli się w trzaskające płomienie.

Z każdą chwilą nocy mróz tężał. Im blady księżyc wyżej wzbijał się na niebo, tym powietrze stawało się suchsze, a lód grubszy. Wilgoć uchodziła prosto do gwiazd. Ostre igły mrozu kaleczyły płuca z każdym wdechem.

Mężczyzna ocknął się, gdy głowa zbytnio poleciała w dół. Zachwiał się na grzbiecie konia, ale w porę wrócił do przytomności i utrzymał się w siodle. Wyostrzył wzrok. Masywny, bojowy kasztan zarżał w niepokoju.

Człowiek zmarszczył nos wrogo i rozejrzał się wśród pni drzew. W porastającym zamarznięte koryto górskiej rzeczki lesie majaczyły upiorne postacie czarnych jeźdźców. Mężczyzna znał je nadto. Nie opuszczały go, odkąd wjechał w Góry Północy. Zjawiały się i znikały, a ich barwy świadczyły o tym, że rycerze za życia należeli do wojsk pana na Duszańcu. Czego jednak upiory strzegły w odludnej krainie, przybysz nie wiedział.

– Przeklęta kraina – syknął.

Tymczasem kierował konia ku czemuś zupełnie innemu. Oto wypatrzył żar po ognisku widoczny w niewielkim oddaleniu. Jasna noc ukazała też ułożonych wokół obcych.

– Mamy ich – mężczyzna dobył głosu, poklepał Kasztana po szyi.

Zaraz potem zeskoczył w śnieg. Ten zaskrzypiał pod butami, zdradził spory mróz.

– Ani słowa – mężczyzna mruknął do konia, zostawiając zwierzę w bezpiecznej odległości od obozowiska obcych. Sam zaś zakradł się w tamtą stronę.

Zgrzyt śniegu pod nogami zdradzał każdy krok. Ale obcy zdawali się spać mocno. Miecz wbity w pierwsze ciało wydał głuchy dźwięk, ugodzony zaś ani nie jęknął. Zaskoczony oprawca kopnął człowieka nieznacznie. Potem obszedł pozostałe, pozornie śpiące osoby. Wszyscy obozujący byli nie tylko martwi, ale i zmarznięci już na kość.

Mężczyzna rzucił okiem na żar po ognisku i przestał rozumieć. Tamci nie mogli zesztywnieć tak szybko. Albo brakowało tu jeszcze

kogoś, kto dokładał drew do ogniska już po ich śmierci. Policzył trupy. Pięciu. Ilość zgadzała się jednak.

Wtem gorycz niespodziewanego strachu wypełniła usta. Na pobliskim drzewie kątem oka mężczyzna dostrzegł bowiem wisielca. Sine w świetle pełni zwłoki srebrzyły się w blasku nocy. Człowiek opanował zaskoczenie, odetchnął nieco, ale nadal nie pojmował.

Zmarszczył brwi i ruszył pod osobliwe drzewo. Było wierzbą płaczącą, o gałęziach nisko pochylonych i zanurzonych w zamarzniętym kotle pobliskiego wodospadu. Tkwiący na jednym z większych konarów wisielec miał związane z tyłu ręce i sztylet wbity w trzewia. Był zupełnie nagi.

– Szlag.

Egzekucja była oczywista, a obnażenie dopełniało obrazu bestialstwa wobec pewnie przypadkowo schwyconego wieśniaka.

Mężczyzna klął chwilę i ogólnie dochodził do siebie. Wreszcie podniósł wzrok ku zwłokom, szukając sposobu zdjęcia ich z wierzby.

– Ciebie jednego pochowam – obiecał ze szczerym współczuciem.

Zamachnął się toporkiem i trafił w powróz oplatający jeden z większych konarów. Złapał przez biodra zwłoki, ratując przed bezwładnym i niekontrolowanym runięciem na zmarznięty śnieg. Manewr zakończył się wspólnym upadkiem, ale złagodził wrażenie bezduszności wobec zwłok.

Zbierając się z lodu, mężczyzna popadł w kolejne zdumienie. Wisielec był bezwładny, ale wiotki, jakby mróz nie zaznaczył na nim swojej obecności. Jakby ciało nie pochłonął mróz, ale też jakby nie wzięła go w posiadanie śmierć.

Człowiek wygramolił się spod ciała, położył je na własnym, zdjętym płaszczu. Odwrócił twarzą ku sobie. Należała do młodzieńca, i wprawdzie w świetle księżyca zdawała się martwą, ale skóra pozostawała sprężysta, zupełnie jak żywa. Długie, czarne włosy wisielca były… mokre. Ledwo złapane szronem.

– Niebywałe… Hejże. – Mężczyzna jął cucić młodego. – A możeś ty żyw?

Klepał go po policzku, tarmosił, przemawiał. Ale próżno.

Wtedy ujrzał srebro. Sztylet wchodził w trzewia tuż pod żebrami wisielca. Mężczyzna miał już wyjąć go, ale zastygł czujnie. W ranie nie znalazł ani śladu krwi. Noc była wystarczająco jasna, by mógł to dostrzec. Zwłoki zostały ugodzone jakiś czas po śmierci.

– Srebro. – Słowa splotły się z uważnym węszeniem. – Więc to tak.

Mężczyzna zaniechał wyjmowania sztyletu z rany wisielca. Wciągnął zapach ciała. Węszył i myślał chwilę w powadze.

Ale księżyc był coraz wyżej nad górami. Człowiek doskonale wiedział, co to oznaczało. Zbliżała się północ.

Zresztą zaczynało się dziać. Pierwsze stęknięcie martwych oprychów wróciło mu przytomność umysłu. Usłyszał warknięcie od strony dopalonego ogniska, potem następne.

Budzili się.

Mężczyzna łypnął na okrągły księżyc. Zwłoki zamarzniętych poruszały się, otrząsały z pokrywającej je warstwy śniegu i lodu. Warki przechodziły i ryki, te zaś w coraz bardziej krwiożercze wycie. Rycerz szybko ocenił, że wilkołactwo wróciło życie wszystkim oprychom.

– Szlag.

Nie czekał dłużej. Pochylił się nad ciałem wisielca i… wyciągnął srebrny sztylet z jego trzewi.

Młodzieńcem wstrząsnęło nieznacznie. Zaraz potem ów warknął i gwałtownie nabrał tchu. Zmarszczył nos, chwytając spojrzenie obcego. Pełnia księżyca wypełniła źrenice, te zwężyły się dziko.

– Za cicha ta noc – głos wiedźmy przerwał kojący trzask bierwion na palenisku. – Wilki pouciekały z doliny.

– Niechybnie coś gorszego się zwlekło – zgodził się ze starą jej wychowanek.

Bo rzeczywiście ledwo po północy było, jak wycie ucichło i noc stała się nad wyraz spokojna.

Tymczasem, kiedy o świtaniu odtrąbiono pożegnanie nocy, pod bramą stał konny. Pełniący wartę osadnicy nie dowierzali. Człowiek wyglądał ku strażnicy, mając na kłębie konia przewieszone inne ciało.

– Ktoś ty?! – zawołano.

– Śledczy lubomijski Dioris Mściwojowicz! – padło w odpowiedzi. – Przybywam z rozkazu króla Strzedziwoja! Otwórzcie!

Posłano po Radzima i starszych, wreszcie zgodzono się rozewrzeć bramę. Cała wieś zbiegła się, nie spuszczając z oczu konnego, wolno wjeżdżającego na utwardzoną drogę osady. Kopyta ciężkiego, bojowego konia uderzały o zmarznięte bierwiona ścielące plac przybramny.

Buty przybysza zaryły w oblodzonej nawierzchni. Zaraz potem mężczyzna zdjął z grzbietu konia kogoś okutanego płaszczem i chwilę trzymał na rękach.

– Kogoście przywieźli, panie? – spytał Radzim.

Wystające nagie stopy spod płaszcza wzbudziły podejrzliwość mieszkańców. Mokre włosy na opadającej bezwładnie głowie nieprzytomnego dopełniły reszty.

– Toż to utopiec! – krzyknął ktoś.

Zaraz potem pisk przerażenia przeszedł przez gawiedź. Poranek utracił pozory spokoju i w tumulcie kilku rzuciło się ku obcemu.

Ten sprawnym ruchem odłożył ciało chłopaka na ziemię. Miecz bezszelestnie przeciął mroźne powietrze. Nim tumult przygasł, ostrze błyszczało przemiennie pod kilkoma szyjami.

Zapadła głucha cisza.

– Ani kroku – ostrzegł przybyły, nie cofając miecza.

Rozbiegane spojrzenia łapały to obraz jego, to ciała nagiego młodzieńca leżącego mu u stóp, otulonego płaszczem.

– Panie – Radzim wyciągnął ręce pojednawczo, w uspokajającym geście – porozmawiajmy.

Słowo „utopiec” szeleściło wśród zgromadzonych.

– Chcemy tylko wiedzieć, kto on – przemawiał z przesadną łagodnością Radzim, wskazując na nieprzytomnego. – Siny i mokry, jakoby jeden z utopców, jakie nawiedzają naszą dolinę. Opuśćcie miecz, panie, wszystko się raptem wyjaśni, pewnym.

– Chłopak uratował mi życie tej nocy – przemówił rycerz, nie cofając broni. – Nie grozi wam nic z jego strony.

Ciężko było im sądzić.

– Poślijcie po…

– Jestem, jestem. – Wiedźma wychynęła spomiędzy tłumu, nim Radzim zdążył dokończyć polecenie.

Rozstąpili się przed nią. Tylko jej obcy pozwolił dokuśtykać do przywiezionego młodzieńca. Nie chował miecza, ale nie zaprotestował, gdy starucha ze stękiem klęknęła na połaci płaszcza okrywającego przywiezione ciało. Ona zaś łypnęła najpierw na chłopaka, potem znów wzwyż na rycerza, lustrując ślepiami. Pod gęstwą kruczych włosów przybysza, szybko zoczyła ostre rysy twarzy, ciemną karnację i zrośnięte, czarne brwi. Mężczyzna żachnął się, mając wrażenie, że starucha przejrzała go na wylot.

Tymczasem wkoło zapadło pełne uwagi milczenie. Osada zdawała się wyczekiwać na wdechu, nasłuchując, co też Olcha osądzi. Ta jednak, nim cokolwiek zawyrokowała, przywołała palcem obcego woja, a ten potulnie kucnął przy niej i nastawił uszu.

– Tyś wilkar – szepnęła tylko do niego.

– Tak – odparł.

– Nie poznają – mówiła wciąż z cicha, tylko do niego. – Nic im nie rzeknę, póki nie trzeba. Te pokolenia nie odróżniają wilka od wilkołaka, co dopiero od wilkara. Ale ten tu – wskazała zawiniętego w płaszcz chłopaka – wylazł z wody i niechybnie jest wilkołakiem. To utopiec. Cóż zatem chcesz z nim…?

– On żyje, pani, pewnym. Błagam… Ocalił mnie przed śmiercią. – Głos mężczyzny zadrżał, co ujęło staruchę. Nie silił się na obojętną pozę jak zwykli oschli wojowie. – Błagam, pomóż mu.

Podumała, podumała i stęknęła, wstając. Pojęczała na swoje kości, plecy i takie tam. A potem oznajmiła głośno:

– Chłopak objęty jest klątwą! Zbadam go, ale wprzód dajcie go zanieść do mej izby.

Nikt ani nie pisnął w sprzeciwie. Wprawdzie obcy nie pozwolił nikomu tknąć rzekomo przeklętego i sam niósł go we wskazanym kierunku, ale przystał na to, by chłopi zaopiekowali się Kasztanem i przytroczonym do siodła dobytkiem.

Tak złożono młodzieńca w legowisku wiedźmy, a w izbie zostali prócz staruchy, obcy i bacznie go obserwujący Wilko.

Radzim zgodził się, by zawarto przed wsią wrota chaty, a sam uspokoił tłum.

To, co działo się na zewnątrz, mało już obchodziło Olchę. Usiadła przy złożonym na marze chłopaku i myślała.

Tak to trwało. Wilko i obcy rycerz mierzyli się chwilę, to znów przerzucali wzrok na starą i młodego.

– Żyw, pani? Czy martwy? – spytał wreszcie Wilko.

– Ani żyw – odparła. – Ani martwy.

– Utopiec? – Wilko ściszył głos.

– Ano, utopiec – odpowiedziała równie cicho.

– Wilkołak. O pełni ożył – domyślił się półgłosem młody wilkar.

– Juści – i to potwierdziła.

Obcy rycerz nie zaprzeczał. Milczał zmartwiony.

– Źle to wygląda – podjął – każą go spopielić przed pełnią. Mylę się?

– Nie, nie mylisz się, dziecinko – potaknęła stara. Przerzuciła wzrok na jego boleściwe oblicze.

– Pani, a może da się go jakoś uzdrowić? – padło z ust rycerza dość poczciwie. – Szkoda go. Wygląda, jakby spał jedynie. Jakby wnet oczy miał otworzyć. Żył przecież, samem widział w nocy! Ruszał się! Był…

– Wilkołakiem. Wilkołactwo wróciło mu pozór życia – ucięła beznamiętnie. Wszyscy troje przecież to wiedzieli.

– Zdaje się taki młody. – Rycerz zakończył i westchnął. Nie wierzył w to, co sam wymówił.

– Ten chłopak może być starszy ode mnie – wiedźma zresztą ostatecznie rozwiała wszelkie jego ułudy, wskazując utopca. – Jak ich większość. Są uwięzieni w słonych wodach jeziora od wieków. Z toni rzadko wydostają się, zazwyczaj przypadkiem. O pełni... sameś widział, w co się przemieniają.

Spuścił smętnie głowę.

– Ale! – Nieoczekiwanie zmieniła ton na żywszy. Aż przykuła uwagę obu wilkarów. – Może i jest w nim coś innego... Dość żem utopców widziała – mówiła, a oni zdawali się łaknąć pocieszenia. – I w istocie takiegom jeszcze nie spotkała. Na wciąż mokry, choć mróz skuwa wszystko w mgnienie oka. Do tego śpi, choć zwykle jedynie złoto w ustach potrafi wrócić im sen i spokojne trwanie. Zdaje się, że tylko magia może to czynić jemu, nic innego.

– Ale czyja magia, pani? – Rycerz łapał się tych słów jak ratunku.

– Zapewne Boginka. Słabość ma do młodzieńców, zwłaszcza śniadolicych.

Wszyscy troje przerzucili odruchowo wzrok na osobliwego utopca.

– Tak, w tym zajściu było coś dziwnego... On... – Rycerz potarł twarz. – On w istocie musiał z wody wyjść... Tamci, banda oprychów, których napotkałem, zwilkołaczałych... Co druhów mi ubili... Znaleźli go, widno, i zabawili się, wieszając. Ugodzili srebrem, ale krew nie poszła... – Powrót wspomnieniami do nocy nie był dlań łatwy. – Ale dziwnym było, że... coś jednak pozbawiło ich życia, zanim się zjawiłem, bom ich zastał obróconych w lód.

– Boginka niechybnie – orzekła wiedźma.

Pokiwał głową, starając się uspokoić.

– A ta Boginka to...

– Stary duch. Innym razem o tym. Możecie u nas zostać do następnej pełni – rzuciła stara. – Ale nim ona nadejdzie… czas jemu wybywać stąd. Z bólem mówię, ale taka jest prawda. Choć mojej osoby zwykle utopce słuchają, wilkołaki czasem, to w osobie tejże nie słuchają się mnie, a jedynie pewnej starej mary, która mieszka we mnie, i która żyje własnym bytem. W siłę tę nie ufam nigdy i nie obiecam, że uchroni osadę przy następnym okrągłym księżycu, kiedy ten utopiec znów rozewrze ślepia. Rozumiesz mnie, dziecko?

– Rozumiem, pani. – Rycerz skinął. – Zabiorę go, nim czas nastanie. Słowo. Nie wiem tylko dokąd, pani? Gdzie jego miejsce? – Smutek zagrał w głosie mężczyzny.

– Już ty się domyślisz dokąd, dziecko – odparła równie smętnie.

– Pod wodę…

Chwilę trwali w ponurej ciszy, niczym w żałobie.

– On… kiedym się ocknął przed świtaniem – rycerz przypominał sobie – on próbował ostatkiem życia ujść w kocioł, właśnie pod wodę. Ale była skuta lodem, żadnego przeręblа, nawet wodospad zamarzł. I tam na tym zamarzniętym kotle znów o świcie obrócił się w to… W zwłoki.

Stara kiwnęła głową. Nic na to nie rzekła. Tylko westchnęła.

– Miejsce utopków jest albo li w słonym jeziorze, albo w grobie na wyspie, na Cmentarzu Wyklętych – podsumowała ponuro.

Wilkarzy zaś wymienili pozbawione nadziei spojrzenia.

Jedli wspólnie we względnej ciszy. Wiedźma i jej wilkar raz po raz spoglądali na rycerza ze świata. Posilał się łapczywie, zagryzając pajdę chleba z mięsiwem. Jego wzrok uciekał do utopka otulonego skórami na legowisku opodal, zdającego się spać. Co kilka chwil mężczyzna uśmiechał się też życzliwie do Wilka, gdy łapał jego wgapione, pełne podziwu spojrzenie. Starucha, jak i przybysz, poznali, że wilkarski rycerz był dla wychowanka wiedźmy najciekawszym zjawiskiem w całych Górach Północy. Olcha liczyła na pobłażanie dla młodego

ze strony obcego, a przybysz zdawał się rozumieć i dokładnie to Wilkowi okazywał. Zwłaszcza, odkąd postanowili wspólnie udać się pod Wierzbę i posprzątać rozszarpane tam nocą zwłoki. Wszak Wilko, jako jedyny spośród wioskowych mężczyzn odporny był na wilkołactwo, dokładnie tak, jak przybysz. Nie groźne im były skaleczenia kłami czaszek stworów, czy inne zranienia grożące zakażeniem.

Tymczasem dali gościowi zjeść i odsapnąć.

Cała izba, prócz paleniska, z którego dym uchodził w wyzior w dachu, posiadała jeszcze owo posłanie, szerokie na kilka osób, wymoszczone skórami, taborety, bujany fotel wiedźmy, małą ławę, kociołek i kilka klamotów kuchennych. W rogu zaś stała duża beczka z wodą i mniejszy cebrzyk.

Mężczyzna jadł niespokojnie z myślą, że winien przed zmrokiem wrócić w miejsce kaźni i zabezpieczyć truchła skażonych wilczym obłędem, zanim zwierzęta rozwloką je po dolinie.

– Zatem – zagaiła na razie dość podniośle starucha – jakże to się stało, że wilkar z czarnych klanów pełni służbę u ludzkiego króla lubomijskiego?

Mężczyzna drgnął w uśmieszku, wreszcie pierwszy raz rozbawiony. Przerwał napychanie się mięsiwem. Dogryzł ze smakiem kęs, który miał w ustach, przełknął i otarł rękawem nieogoloną twarz, pokapaną sosem. Wyraźnie przerwanie posiłku przyjął z niechęcią. Ale odparł spokojnie:

– Wprawdzie jestem czarnym wilkiem, czystej, duszanieckiej krwi. Ale prócz słabości serca do księżniczki Wolin, córki księcia na Duszańcu Czcirada niewiele łączy mnie z czarnymi klanami. Wojska króla Strzedziwoja wzięły mnie w niewolę, kiedym był ledwo podrostkiem i szkoliły na swą modłę. Do Duszańców zbiegłem po jednej z bitew, kiedym chodził w zwiad lubomijskiej armii króla Strzedziwoja. Czarne wilki przyjęły mnie jak swojego. Takem oddał serce duszanieckiej księżniczce Wolin postawionej na czele nadalijskiej armii.

– Duszaniecka księżniczka na czele armii sułatna Nadalii? – Wiedźmie nie mieściło się to w głowie. – Toż to w świecie dziwy nad dziwami!

– W istocie, pani, w istocie. Wojna trwa już latami, wiosna dziesiąta będzie. I końca nie widać.

– Co zatem czynisz jako śledczy króla Lubomii, jakże go tam wołają…?

– Strzedziwoja. Cóż. W zaufaniu rzec mogę, że działam na dwie strony. Ale sercem jestem z księżniczką Wolin. I z jedną sprawą.

– Cóż to za sprawa zatem?

Rycerz pochylił się poufale. Oni ku niemu.

– Królowa Przeborka – podjął niemal szeptem – żona króla Strzedziwoja… została skażona obłędem podobnym wilkołactwu. Lecz sprawa to wielce tajna i nawet tu wolałbym o niej nie mówić. Dość rzec, że ślad wyraźnie prowadzi w te góry, jakby królowa bywała tu potajemnie wraz z tym wszetecznikiem Czciradem, duszanieckim księciem. Możliwe, że tu wydarzyło się coś, co sprawiło, że na zamku w Lubomii na komnatach zasiadła… bestia.

Zamilkł, a starucha zmrużyła chytre ślepka. Siedzący z boku Wilko niczego nie pojmował. Miał wrażenie, że ci dwoje nie wypowiedzieli wszystkiego wprost i sens rozmowy utaili przed nim. Zmarszczył brwi, czekając na dalsze. Ale to nie nastąpiło.

– Czas na nas, Wiko – podjął natomiast rycerz i powstał.

Mieli bowiem sporo roboty u podnóża wodospadu.

W taki mróz nikt z osady nie domagał się towarzyszenia lubomijskiemu śledczemu i wilkarowi od wiedźmy w wypadzie poza bramę. Rzekomo mieli oni sprawdzić coś przy wodospadzie, ale nie prosili o pomoc, więc przyjęto to z ulgą. Mężczyźni zabrali odkarmionego konia należącego do rycerza i jeszcze chwilę majaczyli na ośnieżonej drodze za osadą, rozmywani podmuchami zimowego wiatru. Aż przesypywane przez zaspy kłęby białego pyłu całkiem zakryły postacie.

Idący prowadzili Kasztana, a Wilko nie wychodził z podziwu wobec dwóch dziejących się rzeczy: poznał innego wilkara z klanów czarnych, jakich sam był częściowo potomkiem, a także napotkał wreszcie zwierzę, które nie bało się drapieżcy w nim.

– Kasztana mam od źrebięcia – tłumaczył rycerz Dioris Mściwojowicz, kiedy przemierzali zimowe pola. – Matka mu padła i jam go wykarmił, takim lejkiem. Nie miał ci on istoty bliższej od wilkara. Zatem nie boi się naszej rasy.

Wilko pogłaskał włochate, ale i miękkie chrapy konia. Zwierzę było zresztą pokaźnych rozmiarów, do tego porośnięte sierścią zimową i grubą.

– W Duszańcu – podjął Dioris – roi się od rumaków. Ale nie od zwykłych. Hodują tam rasę pozbawioną nozdrzy. Pozornie pozbawioną, bowiem konie te mają je jednak niewielkie i przez to mają nikłe powonienie. Specjalny to rodzaj bojowych, nieustraszonych koni, które nie boją się nie tylko swych wilkarskich jeźdźców, ale nawet wilkołaków!

Chłopak kiwał głową, chłonąc słowa rycerza niczym największy sens życia.

– A ty, Wilko, widziałeś wilkołaka? – spytał nieoczekiwanie lubomijski śledczy.

Chłopak ocknął się.

– Nie dokładniem widział, panie – odparł i jednocześnie uświadomił sobie, jak to jest straszne odkrycie.

– Młody, mówże mi po imieniu.

– A, tak. Nie widziałem dość dobrze, Dioris. Jest we wsi chłopak, Miestko go wołają, co dziwny jest i pani rzekła, że ani to wilkołak, ani wilkar. Sam więc nie wiem…

– Miestwin, mówisz. Hmm. Czym zatem on?

– Mieszańcem.

– O.

– A! I widziałem Wyklętych z wyspy! Trupy żywe!

– Opowiedz.

– Gniją, ale zgnić nie mogą! Nie mogą też umrzeć!

Tak gawędząc, doszli skraja jeziora i szczytu zamarzniętego wodospadu. Odtąd schodzili ścieżką dosyć stromo wzdłuż lasu. I wreszcie ujrzeli Wierzbową Boginkę schyloną na brzegu skutego lodem wodnego kotła. Śnieg nieco przysypał zwłoki oprychów, ale i tak łatwo można było dostrzec, że rozszarpane ciała nie uroniły kropli krwi. Spowijająca je maź przypominała raczej rozgniecioną kiszkę.

– Czyli tyś widział wilkołaki – domyślił się Wilko.

– Taaa. Zaatakowały nas w obozowisku miesiąc drogi stąd. Wybiły wszystkich moich kompanów jadących tu z rozkazu króla Strzedziwoja. Jedyny ocalałem. Pochowałem przyjaciół i przyobiecałem zemstę. Banda ta była nam już wcześniej znana z opowieści podgórskich wieśniaków. Często napadała, zwłaszcza o pełni, nie grabiąc, a jedynie napawając się sianiem śmierci. Tylko że wówczas nie byli oni martwi. Zabiło ich coś tej nocy, tuż przed mym przybyciem, jakeśmy już mówili.

– Tak. Wierzbowa Boginka uczyniła to zapewne w obronie utopka.

– Skrywał się ów w zmarzniętym kotle?

– Nie, w jeziorze. Tam – Wilko wskazał gestem ścianę skalną stanowiącą rusztowanie dla unieruchomionego lodem wodospadu – tam nieszczelne miejsca, woda wyrzuca czasem klamoty z jeziora.

– Klamoty, mówisz…

– Ale, jakem tu jest w dolinie, utopka jeszcze nie wyrzuciło.

– No tak. Jezioro utopców zatem. Ciekawe.

– Pani nawet nie zna, kim one, te utopki. Z czasów zamierzchłych jakichś.

Śledczy otrząsnął się po krótkiej chwili zawieszenia myśli.

– Dobrze, Wilko, czas do roboty się brać. Szukaj głów, resztę wilki mogą se zjeść. Głowy najważniejsze, bez nich wilkołak nie wstanie o pełni. Spalimy je później w osadzie i rozrzucimy na wiatr. Reszta

i tak skuta lodem, nie wyrwiemy, byśmy rąbać musieli. A ani tyle opału, ani czasu nie mamy.

– Ile tych głów ma być?

– Pięć.

Młody skinął i szybko ruszyli w pobojowisko.

– Jedna już jest – oznajmił młodszy z wilkarów, zamierzając się siekierą do wyrąbania znaleziska z porastającego je lodu.

– I druga. – Rycerz spostrzegł pozbawioną korpusu głowę oprycha, również zamierzając wyłupać ją ze zmarzniętego śniegu.

– On to tak im łby pourywał, utopek nasz? – Wilko rąbał lód, aż odłamki odpryskiwały na boki.

– Na własne oczym widział. Ani nie zdążyli zawyć do księżyca.

– Wilkołak to silniejszy od tamtych?

– Najwyraźniej. – Dioris przyłożył ostrze topora do lodu, wprawnie wyłuskując zeń głowę.

– Walczył też i z tobą?

– Nie. – Śledczy sam zastanawiał się nad tym dziwem. – Ani nie próbował. Poddał mi się, choć nie spróbowałem nawet okiełznać go. Byłem pewny własnej śmierci. Kiedy się przeobraził, a uczynił to w mgnieniu oka, ja... To są po prostu naprawdę w kurwę ogromne stworzenia, Wilko!

Chłopak skinął wiernie.

– Sięgałem mu ledwo klaty! – Dioris ciągle sam był pod wrażeniem nocy. – Nie ma się co łudzić, gdyby chciał, rozpłatałby mnie w jedno uderzenie serca! A nie drgnął nawet ku temu. Skulił łeb i czekał, co uczynię. A że nie czyniłem nic, i on nic nie zrobił. Tak po prawdzie to – skrzywił się rozbrajająco – zemdlałem! I ocknąłem się rankiem, widząc go chcącego uciec pod lód. I to jest, Wilko, koniec opowieści.

Młodszy z mężczyzn zasępił się. Pochłonięty nowym tropem beznamiętnie wyjął głowę oprycha z lodu, trzymając za włosy. Wrzucił obrzydlistwo w przygotowany na nie parciany worek.

– Może utopiec ów w rzeczy samej starszy od mej pani – podjął – i dlatego pamięta czasy, gdy wilkarzy władali wszelkimi bestiami, wilkołaki mając u swych stóp niczym psy. Pani opowiadała mi o tym.

Rycerz zmarszczył brwi w uwadze.

– Tak – zgodził się z chłopakiem – jeśli jest tak stary, może wziął mnie za pana tylko dlatego, żem wilkarem. To by wszystko tłumaczyło. Wziął mnie za swego pana, i niczym pies ochronił mnie przed obcymi psami.

Tu mężczyzna aż złapał się za głowę.

– To byłoby wytłumaczenie! – W jakimś sensie bardzo ucieszył się z tego odkrycia. Znaczyło, że może choć trochę zaczynał pojmować, z jaką istotą się zetknął.

Jeszcze na chwilę wyostrzył wzrok wyrwany z toku myślenia. Zapatrzył się w konar, na którym zeszłej nocy wisiał jego utopiec. W gałęzi wciąż tkwił toporek, którym wycelował weń i odciął powróz. Nie wiedział czemu, ale przeszły go ciarki, zupełnie jakby odczuł ból zranionego drzewa.

– Szlag... – zaklął, szukając sposobu, by wspiąć się tam i wyjąć ostrze z konaru.

Ale ledwo dotknął pnia wierzby, coś szarpnęło nim i unieruchomiło, mocno przyciągając do kory. Wrzasnął.

– Panie! Panie! Znaczy... Dioris! – Klepanie po twarzy wróciło śledczemu przytomność.

Leżał w śniegu, odrzucony od pnia, a Wierzbowa Boginka zdawała się zaglądać mu w twarz zza cucącego go Wilka. Rycerz nie wiedział, czy patrzeć w oczy wilkara, czy... w jej dziwne, jakby człowiecze oblicze.

Zaczerpnął powietrza. Zimowe niebo zawirowało ponad wszystkim.

– Znalazłeś głowy? – wybełkotał, utraciwszy sedno chwili, jakby desperacko chwytał się ostatniego zrozumiałego dlań zdarzenia.

– Szukałem, kiedyś wrzasnął. Co ci się stało?

Dioris otwarł usta, by odrzec, ale nagle pojął, że… nie wiedział, jaka była odpowiedź.

– Musimy znaleźć głowy… – powtórzył zapamiętale. – Pięć, pamiętasz?

Wilko pamiętał. Skinął. Chwilę jeszcze zajmował się rycerzem, pomagając mu w stać. Potem obaj otrzepali się ze śniegu. Porozcierali ręce, pospoglądali na wierzbę, ochłonęli. Wreszcie Dioris porzucił myśl o wyjęciu toporka i skupił się na zadaniu. Zwłoki, w tym trzy głowy, tonęły w śniegu, obrośnięte lodem. A do zmierzchu wcale nie było tak wiele czasu.

– Drugi już raz tracę przytomność pod tym… drzewem. – Rycerz myślał głośno. – Straszydło jakieś, nie wierzba…!

– Ciii.

Dioris zmierzył Wierzbową Boginkę ponurym wzrokiem. Coś w nim bardzo nie chciało narazić się na jej obrazę.

Bez wyrazu patrzył, jak Wilko zarzuca pętle linki i wyrywa wbity w gałąź toporek. Broń z łoskotem zaryła w śniegowym puchu, uderzając w zlodowaciałą ziemię pod spodem. Mężczyzna obdarzył chłopaka pełnym ulgi spojrzeniem. Kiwnął głową z uznaniem dla pomysłu.

– Sprytnyś, młody – pochwalił.

Miał nadzieję, że z naruszonego ostrzem konaru nie pociekła dziwaczna posoka. Na wszelki wypadek nie spojrzał tam. Nie miał w sobie teraz miejsca na prawdę o tym drzewie.

Wilki zaznaczały swoją obecność w lasach otaczających dolinę, gdy Kasztan wiózł wiedźmowego chłopaka i swego pana do osady, z nimi zaś spakowane w worze głowy oprychów.

Przyjęto ich z ulgą, zwłaszcza że było już po zmroku. Mimo wszystko każdy wolał świadomość, że kto miał wrócić, ten wrócił na noc do

osady i nikt nie będzie zostawał poza bezpiecznymi wałami wśród pustkowi.

Worek z głowami śledzono z uwagą, ale rozsądnie. Olcha powiedziała osadnikom, że Wilko i rycerz króla Strzedziwoja palą szczątki utopków, które przybysz napotkał przy kotle w trakcie drogi w dolinę. Również i to, że pozostałe części trucheł można zostawić wilkom na pożarcie. Nikt nie dziwił się więcej, a mały stos ciałopalny dla owych pięciu głów urządzono na obrzeżach wewnątrz osady i doglądali go Wilko z Diorisem Mściwojwiczem.

Było już zupełnie ciemno, gdy obaj wilkarzy wpadli po spopieleniu i rozgnieceniu czaszek na proch do izby zajmowanej przez Olchę. Z nimi w ciepło ogrzanej chaty wpadł zapach zimy i wiatru, a z butami również resztki śniegu. Mężczyźni chętnie zajrzeli w kociołek strawy, w którym bulgotał już gulasz. Rozcierali ręce i rozdziewali się naprędce, głodni bardziej niż wataha wilków wyjąca w dolinie.

Wzrok lubomijskiego śledczego pobiegł jednak szybko ku posłaniu i wymoszczonemu legowisku tajemniczej istoty.

– Co z utopkiem? – zagaił wiedźmę.

– Po staremu – mruknęła. – Twój utopek, dziecko, wiekował tak zapewne i będzie długo jeszcze trwał.

Dioris westchnął w duchu, chwytając za misę ze strawą. Rozbawiło go określenie wskazujące na to, że oto posiadał osobistego utopca. I to wiekowego. A właściwie to osobistego wilkołaka.

– Wyborne jadło, pani – wymamrotał z pełnymi ustami w zachwycie.

Wilkowi to już w ogóle rozkosz podniebienia odebrała mowę. Tylko zamruczał przeciągle, co oznaczało, że zgadzał się z nowo poznanym kompanem.

Olcha rozsiadła się w bujanym fotelu, opatuliła skórami i wyszczerzyła bezzębne usta w uśmiechu. Cieszyła się, że Wilko znalazł wreszcie wilkarskiego druha i to z czarnych klanów. Chłopak potrzebował mężczyzny takiego jak Dioris. Obaj znajdowali się teraz na obrzeżach

społeczności osady, ale też mieli siebie. Duszaniecki rycerz idealnie wypełnił pustkę, jaką miał w życiu Wilko po wygnaniu go przez szare, górskie klany Ludmara. Możliwe, że nawet u boku watahy wuja nigdy nie przestał być samotny, na pewno od dawna był tam odrzucony. Z zawitaniem czarnego wilkara w Góry Północy Olcha łączyła ogromną nadzieję, że jej wychowanek znalazł przyjaciela.

Obaj mężczyźni porozumiewali się już półsłówkami, śmiali z sobie tylko znanych spraw, a przede wszystkim wyraźnie swobodnie się przy sobie czuli. Rycerz był nie więcej jak dziesięć lat starszy od Wilka, co czyniło zeń dla chłopaka zarówno odrobinę ojca, jaki i brata, a głównie życzliwego druha.

Było więc przy gulaszu i o Wierzbowej Bogince i o paskudnych głowach oprychów, o Kasztanie, ale i o duszanieckiej księżniczce ze świata i wreszcie o kobietach wilkarskich ogólnie.

Wiedźma rechotała, pierwszy raz od bardzo dawna nie wybijając się na główny plan w życiu wychowanka. Ulżyło jej wobec tego tak bardzo, że aż zasnęła.

Obudziła się niesiona przez Wilka na posłanie. Poklekotała tylko kościstym ciałem, układając się wygodnie w wymoszczonym skórami królestwie przytulności. U jej jednego boku spoczął Dioris Mściwojowicz, za nim utopiec, po nakryciu zaś wszystkich wielką kapą z niedźwiedzich skór i po wsunięciu się na koniec pod nią, drugi bok staruchy jął grzać nie kto inny, a Wilko.

– Pamiętajcie drew dorzucać – upomniała sennie. – Abyśmy nie pozamarzali w nocy. Po pełni świeżo, księżyc wciąż bystry, jużci mróz skuje jak zeszłej nocy.

– Tak, pani, dorzucę – przyobiecał Wilko i ziewnął przeciągle.

– Dorzucę, dorzucę – przedrzeźniała rano, bo oczywiście wszyscy posnęli tak mocno, że na palenisku zgasł już nawet żar. Było zimno, a taflę wody w beczce spowiła leciutka lodowa pajęczynka. – Zimo-

we kurwowatości… Co rok to samo. Ech, Olszynko ty bidulko, aleś zdziadziała, dziewczyno! Nie dość, że na mrozie, to jeszcze z utopcem w jednym leżu! Na co ci przyszło, niebogo, oj, na co?!

Wilko śmiał się, rozniecając ogień. Dioris szybko pojął, że gderanie starej niegroźnym jest i odetchnął, wracając w ciepełko posłania. Tam niezmiennie spoczywał jakby smutny utopiec. Myśli rycerza wróciły doń i trąciły melancholią.

– Utopka ci w marę przywlekli, dzierlatko – marudzenie starej wypełniało scenerię – prawie żeśmy dwa umarlaki w jednej skrzyni! O bogowie!

– Pani – chichotał Wilko, prawie już roznieciwszy płomień na bierwionach – nie biadaj tak, boś żywa, zaradzisz co na niedolę utopka, a wnet, zobaczysz, we czworo będziem tańcowali przy wiosennym słońcu!

– Zimowe kurwowatości póki co mamy i tyle – brzdąkała po garach, szykując jajecznicę dla wszystkich pod swym dachem. – Najpodlejsza z pór roku. Uch, obmierzły czas. Uch!

Dioris Mściwojowicz ani nie spostrzegł, kiedy zasnął. Przytomność wróciło mu ciekawe kilka słów słyszanych tuż przy skroni:

– Niech se śpi, biedaczysko.

– Kiedy już drugą noc przespał, pani. I dzień cały.

Głosy należały do wiedźmy i jej wychowanka. A sens wypowiedzianych zdań rozhulał na nowo myśli rycerza ze świata.

– Drugą noc? – wyjęczał sennie, zrazu przytomniejąc.

– Ano drugą – zarechotała starucha. – Jużeśmy jajecznicę z wczoraj dawno zjedli, dziecko. Ale nie frasuje się, dychnij, ile ci trzeba. Tyleś krain przejechał, nocy bezsennych zaznał i zimna, i wilkołaków. Wreszcieś odespał może choć trochę.

Spotkał jej paskudne, ale życzliwe i ogólnie dobre oblicze. Odwzajemnił uśmiech.

– Ech – wyszczerzyła się – ale ładne te chłopaki teraz robią, oj ładne!

I odeszła do garów, on zaś pozostał jeszcze chwilę w rozbawieniu.

Mężczyzna odwrócił się ku utopkowi. Młodzieniec zdawał się spać snem wiecznym. Jedynie to, jak długo to już czynił, nie pogniwszy, przyprawiało o ciarki.

– Pani – zaczął i poznał, że Olcha usłyszała głos i ujrzała go podpartego na łokciu, zapatrzonego w ładne oblicze żywego trupa – wymyślimy sposób na to, by mu pomóc?

Wyraźnie chciała rzec, że tak, że sposób to topór, grób albo ciałopalenie. Ale chyba żal jej się zrobiło. Nic takiego w każdym razie nie padło, a rycerz wobec tego odczuł choć ulgę.

Potem podniósł się i usiadł. Przetarł zaspaną, ale świeżą po tak długim odpoczynku twarz.

– Nie wiem – podjął – czy to ważne. Wtedy przy wierzbie, kiedym chciał wspiąć się i wyjąć toporek z gałęzi, kilka dziwnych chwil mignęło mi przed oczami. Jakby kto inny patrzył, o innym czasie. Nie były to moje wspominki.

Zaciekawiona, przysiadła na skraju posłania.

– Co ty mówisz, dziecko? – zatroskała się. – Miałeś wizję od Boginki?

Pytanie nieco zbiło go z tropu. Ale potwierdził niepewnie.

– Ten chłopak – wskazał utopca – był tam. Widziałem go czyimiś oczami...

– Jej, zapewne, kimkolwiek była.

– Hmm. Był żyw i zdrów, ale dręczony. Zdaje się niskiego stanu, zza gór, ludzkiej rasy. Po przyodziewku sądzę, że z chłopskiej rodziny. Zabrali mu siostrę. Nim zaś bawili się, wieszając. Zupełnie, jak owej nocy, com tu przybył.

– Kto? Kto go męczył?

– Wilkarzy, pani. Szare wilki.

– Tutejsze. – Zasępiła się, bawiąc sękatą brodą. – To do nich podobne. Takie znałam przed wiekami. Ludzi porywały w świecie i tu zwoziły.

– Zabrali mu siostrę, a jego powiesili i pogryźli. Ale nie to go zabiło. Dokładniem nie widział, bo kształt ten ledwo wyłaniał się z mroku wizji.

– Bestia.

Na tajemnicze słowo przytaknął po krótkim namyśle.

– Jakby wilkołak – potwierdził. – Chcieli nim, naszym obecnym utopkiem, nakarmić tego stwora.

– Ale nie nakarmili – domyśliła się. – Bo ONA to widziała, bo patrzyła. I obroniła go przed rozszarpaniem.

– Takie i ja mam wrażenie. Choćem dalej nie widział, co zaszło. Zatem ona jest dobra?

– Boginka? Ta stara wszetecznica? A tfu, zalarwiona. – Wiedźma odsapnęła nieco po wyrzucie odwiecznej, niemal rytualnej złości. I dopowiedziała już spokojniej: – Dawno temu i ja miałam tu być złożona w ofierze. Dla NIEJ. Jednakowoż wówczas zaniechała mnie i chroni do dziś. I, tak, myślę, że ONA jest dobra.

Zaskoczyła rycerza, a jeszcze więcej słuchającego tego z boku Wilka.

– Choć całej tej pokraczności, którą mi podarowała, nie daruję jej – domruczała stara. A gdy myślała już, że nie usłyszą, dodała w śmiertelnej powadze: – A w szczególności nie popuszczę jej cycków...

Kilka nocy po pełni mrozy zelżały, zaś niebo zaszło chmurami. Wkrótce wypełniło się wirującymi, to gęstniejącymi, to rzednącymi płatkami. Odtąd dzień po dniu przybywało śniegu, ten z kolei dociskał dachy i umacniał wobec wichur, ale też ocieplał. Wszelkie dziury zostały zasklepione, ściany chat otulone. Jednakże przedłużające się opady groziły całkowitym zasypaniem osady, to z kolei nigdy nie wróżyło dobrze.

Dioris i Olcha co zmrok stawali na izbicowych wałach, szacując, na co się niosło w górskiej pogodzie. Śledzili księżyc.

Rycerz bardzo zżył się z Wilkiem, uczył go nawet władania mieczem i jazdy na Kasztanie, ale były sprawy, o których z nikim nie rozmawiał. Miał oczy i uszy i wiedział, że w osadzie źle popatrują na nieprzytomnego obcego. Raz po raz wysłyszał, że ktoś trwożył się, czy aby nie lepiej uciąć dziwakowi łeb i spalić, nim nastanie pełnia albo wygnać poza osadę. Większość była pewna mocy wiedźmy, trzymającej wszelkie zło w ryzach, ale z każdym dniem niepokój rósł – bo gdyby wszystko było w porządku, to czy aby obcy nie powinien dawno się obudzić? A jeśli to wiedźma uśpiła intruza złotą grudką, jak czyniła utopkom, to czemu nie da wywieźć go, jak innych, na Cmentarz Wyklętych?

Dioris nie szukał odpowiedzi na pytania u osób, które nie mogły jej udzielić z całkowitą pewnością. Nie chciał obarczać kogokolwiek odpowiedzialnością za losy osady wobec nadchodzącej pełni. Wiedział, że kiedy śnieg zasypie dolinę, wywiezienie utopca w jakieś odległe miejsce, będzie niemożliwe. Nie zamierzał czekać. I jednego dnia po prostu zniknął. Zabrał ze sobą też nosze z utopcem. Uczynił to chyłkiem, tuż przed nawałem śniegu. A ten zasypał wszelki ślad i udaremnił poszukiwania, jakie podjął Wilko.

W dwie noce później znów się wybystrzyło i okrągły księżyc, niczym sadystyczne bóstwo, zawisł nad górami. Po lubomijskim śledczym i jego utopcu nie było już śladu. Daremno szukał go Wilko. A wreszcie nawet on poddał się i wrócił do osady.

– Biedne dzieci… – Wiedźma długo spoglądała z wałów w siność zapadającego zmroku. Wyglądała za Diorisem i nieszczęsnym nieumarłym chłopakiem. Bała się, że więcej ich nie ujrzy.

Jaskinia schowana w jednej z gór jaśniała zielonkawym blaskiem, jakie dawało podziemne, gorące jezioro. Woda w nim mieniła się, ocieplając skaliste wnętrze. Nigdy nie stygła.

Dioris odsapnął, złożywszy bezwolne ciało utopka tuż przy brzegu gorącego źródła. Usiadł z boku, dysząc jeszcze dłuższą chwilę.

Nie miał pojęcia, co dalej. Nie wiedział, czy brak blasku pełni cokolwiek zmieni, czy uchroni utopca przed przemianą. A jeśli tak, to dokąd będzie trwał nędzny byt chłopaka. Byt nie zasługujący ani na miano życia, ani na miano śmierci.

Wilkarski rycerz nie oczekiwał, że sam wyjdzie cało z tej nocy, ale nie miał siły podjąć jakichkolwiek działań.

– Co u ciebie? – podjął do zwłok. Powoli wysupłał je z odzienia, w jakiejś zaskakującej nadziei, że może ta przyda się jeszcze rankiem, kiedy minie wilkołaczy kryzys. – Czujesz się jakoś dziwniej? Pełnia dziś.

Cisza i kapanie kropel pary z nagrzanego stropu jaskini wypełniły uszy wilkara.

– Ech. – Dokończył rozdziewanie chłopaka, jednocześnie okrywając go jeszcze na chwilę ciepłym futrem. – Mógłbyś choć wyjawić swe imię, łaskawcze.

Sam też się rozebrał. Potem wziął utopka na ręce i wszedł z nim w wodę gorącego jeziora. Dno było łagodne dla stóp, gładko wyrzeźbione prądami źródła. Dioris zanurzył się niemal po szyję, znajdując wygodną skałę w wodzie, na której usiadł. Utopca posadził sobie na kolanach, by ten nie osunął się w wodę. I tak trwał.

– Żyj – przemawiał czasami, czując, że zagrzane gorącymi wodami ciało utopca niczym nie różni się od żywego.

Gdzieś w głębi umysłu wciąż łudził się, że istota jest tylko wyziębiona, że kiedy krew ociepli się, popłynie, wypełni ozdrowieńczo każdy zakątek utopkowego ciała.

– Żyj...

Ale około północy istota trzymana w ramionach, owszem, drgnęła, niestety drgnienie to pochodziło od tej części nieszczęśnika, której wilkar najbardziej nie chciał spotkać.

Na ostateczną formę wilkołaka czekał już odcięty od wszelkich uczuć. Najpierw obojętnie przyglądał się przemianie, potem sam ryknął i przyoblekł się w zwierzęcą postać.

Niedługo później dwa wielkie pyski zbliżyły się do siebie, rozszerzając nozdrza. Sierść okalająca wilcze ślepia obu stworów ociekała wodą, obnażone zęby spływały śliną. Cielska zastygły czujnie, obmywane fosforyzującą wodą.

– Wilkołak i wilkar. Ciekawam, który silniejszy. – Olcha bujała się w fotelu omotana kożuchem.

Jej wychowanek wbił palce w gęstą czuprynę i w bezsilności schował twarz w ramionach. Zaskomlał żałośnie.

Izbę wypełniło kojące trzaskanie ognia na palenisku.

Daleko poza doliną, w oświetlonej wodami baśniowego jeziora jaskini, siedział mężczyzna. Podziemny tron z wystającej skały wyścielił sobie futrem i starał się nie zasnąć tej pełni.

U jego stóp trwał potwór. Głowa wilkołaka spoczywała na udzie pana, a dłoń tegoż raz po raz głaskała szczeciniaste kłaki bestii.

Dioris bardzo nie chciał zasnąć, tkwiąc niczym w torturze na straży potwora.

Obudził się jednak na futrzanym płaszczu, zdjęty lękiem.

Leżący obok wilkołak zmieniał się, wracając w ludzką postać.

Dioris odetchnął w uldze, że doczekał rana, jednocześnie z ukłuciem żalu, że istota znów przejdzie na drugą stronę życia – w śmierć. Sam nie wiedział, czy wolał ożywionego wilkołaka czy martwego utopca.

Tymczasem ten przybrał już ludzką postać. Splótł wejrzenie z wejrzeniem mężczyzny. Ku zdumieniu Diorisa oczy utopca zostawały otwarte, a usta złożyły się do słów.

– Dziękuję – padło. – Mam... na imię... Sol...

Przerażona twarz młodzieńca drgnęła w grymasie rozpaczy. A potem znów zastygła.

– Nie odchodź... – Dioris jął klepać go po policzku. Zerwał się w nadziei.

Długo próbował ocucić jeszcze utopca, zamienić z nim choć jeszcze jedno słowo. I choć nie udało mu się to ani na chwilę, ostatecznie poderwał pozornie martwe ciało i otulił ramionami. Na zmęczonej twarzy cienie połyskującej wody mieszały się z pełnym nadziei odkryciem.

– Przemówiłeś... Ty naprawdę nie umarłeś.... Sol... Nie umarłeś... Jesteś ludzką istotą... Czujesz, rozumiesz... Obiecuję, zaradzimy coś na twoją niedolę.

Agata Kasiak – autorka powieści *Baśń o Wilczej Dolinie*, *Wiedźma z Bronaczowa*, *Radosna Nowina* i *Mogiłka*.

Nowe, czyli pierwsze

Norbert Grzegorz Kościesza

Rodzimy się, żyjemy i umieramy. W tym czasie wszystko jest dla nas nowe, pierwsze i niespotykane. Zawsze jest ten pierwszy raz! I nie chodzi mi tutaj tylko o pierwszy raz w seksie, wiecie „ten tego" i „tamta tamtego". Wszystko, co robimy, jest na początku nowe. Pierwszy łyk powietrza, płacz i uśmiech, słowo „mama", raczkowanie, kupa i chodzenie. Nowe jest, gdy włożymy gwóźdź do kontaktu, a on nam odpowie kopnięciem. Nowe, gdy dotkniemy językiem metalowej rurki na mrozie i gdy pobijemy się z kolegą o dziewczynę, która też w pewnym momencie była tą pierwszą, nową. Pójście do szkoły, przedszkola, na studia, czy też do wojska. Całe życie poznajemy nowe słowa, czasami wartościowe, a czasami te najzwyklejsze wzbogacające naszą kulturę, zwłaszcza gdy ciężki młotek, którym celujemy w kołek, omsknie się i trafimy we własny palec. Pierwsza wizyta u lekarza jest nowością, wyrwanie zęba i debiutancki łyk alkoholu oraz to, co po jego spożyciu nastąpiło. Wspólne zamieszkanie z kimś innym niż rodzice też jest nowe, przyjście dzieci na świat, przewijanie pieluch, pomaganie w lekcjach i wypuszczenie dziecka w dorosły świat.

Od wieków ludzie straszyli się wzajemnie słowami: „Idzie nowe!".

„Nowe" bardzo często było nieznane, niedobre, wrogie i tajemnicze. Te dwa słowa były tak samo magiczne i pociągające, jak i straszne! One pozwalały trzymać w ryzach poddanych i wiernych.

Wódz, chcąc utrzymać posłuch swoich poddanych, którzy kręcili nosem na rządy swego pryncypała, krzyczał: „idzie nowe!" i od razu lud skupiał się wokoło ośrodka władzy.

Ksiądz lub inny kapłan martwiący się o to, że jego owieczki rozbiegną się po zielonych łąkach, krzyczał: „idzie nowe!" i od razu stadko zbiegło się, by w pokorze wielbić swego pasterza.

Niestety, często ci krzyczący, że „nowe" to zło, mieli rację.

Przewidzieli swą zgubę Rzymianie, wołali, iż od północy idzie nowe i czas się chronić, bo hordy barbarzyńców zrujnują imperium. Tak się właśnie stało. Nowe, w postaci króla Genzeryka i jego poddanych z plemienia Wandalów, spustoszyło Rzym. W zamian za to dla po-

tomnych pozostało nowe słowo – „wandalizm", którego z powodzeniem używamy do dziś, choć zapewne nowością dla wielu czytających będzie to, iż te działania przyczyniły się do upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego.

Inaczej do „nowego" podeszli Aztekowie. Oni, jak zobaczyli białych brodaczy – dla nich nowość, wpuścili bladych ziomków zza oceanu na swe terytorium, otworzyli swe pałace, na tacy podali bogactwa i kobiety…

… i niestety słono za to zapłacili. Nowi, czyli Hiszpanie pod wodzą niejakiego Cortesa, doprowadzili do apokalipsy Azteków, a epidemia ospy – nowej i nieznanej Indianom choroby – zdziesiątkowała ich populację.

Tak właśnie z tym co „nowe" miały się sprawy na Ziemi.

W świecie magii, stworów i innych demonów też nie było lepiej. Pierwszy bunt aniołów w niebie i… ich strącenie do Tartaru. Dla Boga i pokonanych – nowość. Kuszenie Ewy w raju i zjedzenie pierwszego jabłka, wygnanie z Edenu – nowe – złe i odkrywcze jednocześnie. Pierwsze użycie wody święconej przeciwko szatanowi, jego strach i triumf egzorcysty. Odkrycie przez transylwańskiego szlachcica, że Dracula nie lubi czosnku, a jego panienki nie znoszą srebrnej biżuterii.

Dla Marysi nowością okazało się, że nie jest sierotką, zaś krasnale, które jej pomagają, to tak naprawdę śląscy górnicy.

Jednak nie zapędzajmy się tak daleko, bo nie zawsze „nowe" było złem.

Otóż, gdy wymyślono kolej żelazną, ludzie szeptali do siebie, że krowy nie będą się cielić, a ludzie będą rodzili się z dwiema głowami. Dziś chyba nie ma nikogo, kto nie podróżowałby choć raz pociągiem. Rower, samochód, samolot czy rakieta, wszystko było nowe, czasami groźne i straszne. Wiele z tego, co kiedyś było nowe, przetrwało do dziś i teraz jest znane, lubiane i potrzebne, i wydaje się, że było od zawsze.

Nie lubimy zmian, a „nowe" nieuchronnie niesie w sobie jakąś zmianę. Czy musimy się tego bać?

Przecież nie boimy się nadejścia nowego roku, często czekamy na to, cieszymy się. Tak samo jak na przyjście nowego członka rodziny; kupno nowego mieszkania, domu czy samochodu. Stawiamy sobie wówczas nowe, ambitne plany, na przykład odchudzania, zerwania ze starymi nawykami. Oczywiście wolimy stabilizację, komfort, które dają nam brak zmian i nowości. Tę „stabilność" mylimy z pojęciem upragnionego, wymarzonego przez setki spokoju i normalności.

To, że w tej pozornej stałości, stabilności mamy często złą sytuację osobistą, materialną czy duchową, utożsamiamy z założeniem, że lepiej nam bę-

dzie w czymś, co znamy, niż w tym co nowe może nam przynieść. Nie wierzymy, że zmiany są dobre, że mogą coś zmienić na lepsze. Mówimy sobie:

– Nie kombinuj!

Wszystko dlatego, że tak nas nauczono, wpojono, że zmiany i nowości mogą tylko pogorszyć sytuację.

Tkwimy w swojej pracy, w której nie jesteśmy szczęśliwi, w związkach, które są toksyczne, z osobami, które okazują się wampirami energetycznymi, narcyzami, bo boimy się nowego, nieznanego.

Boimy się zmian!

Często tkwimy w przyzwyczajeniach, w rolach, w jakie nas wcisnęło życie; te same schematy, nawyki, które wykonujemy z myślą, że inaczej nie można, bo „co ludzie powiedzą?".

A gdyby tak wszystko rzucić i wyjechać w Bieszczady?

Stanąć przed lustrem i wyszeptać: „nie, wróć!".

Krzyknąć głośno:

– Nadchodzi nowe!

A więc, czy powinniśmy otworzyć się na świat, na nowych ludzi, na nowe doznania tak zupełnie bezkompromisowo?

Oczywiście, że nie.

Wszystko wymaga trzeźwego spojrzenia, racjonalnego podejścia, często przeliczenia tego co za i tego co przeciw. Ważne jest nasze szczęście, dążenie do niego i życie w zgodzie z sobą i swoim sumieniem.

Nie należy przywiązywać się do jednej rzeczy, miejsca, domu i jednej pracy.

Należy próbować nowego z rozsądkiem, tak by nadmiar nam nie zaszkodził. Nie od dziś wiadomo, że co za dużo, to niezdrowo. Więc warto wyruszać w świat za pracą, za nowym domem, próbować rozwiązywać problemy, a nie w nich tkwić. Każdy sposób jest lepszy niż jego brak.

Dlatego nowy start może być strzałem w dziesiątkę. Małe ryzyko, którym jest podjęcie decyzji o zmianie pracy czy miejsca zamieszkania, może spo-

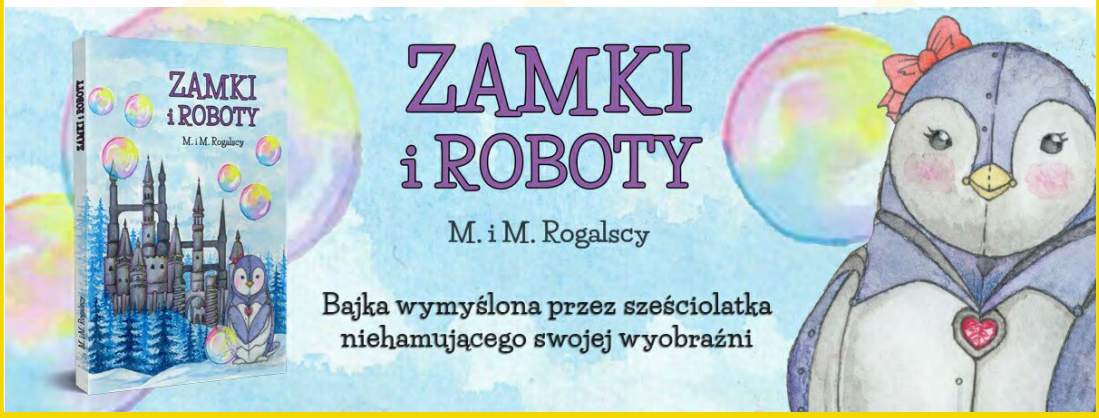

wodować wielkie i pozytywne zmiany. Dotychczasową stagnację można zmienić w zastrzyk energii, obfitujący w nowe pomysły, twórcze wydarzenia, pisarskie odkrycia, ujrzenie samego siebie.

Jedni cieszą się na nowe, a inni się boją. Całkiem naturalne, że widzimy w tym zagrożenia i szanse. Nowe, to nie tylko pole minowe (pod kątem tego, że nie wiemy, na co i na kogo trafimy), które może nas wysadzić w kosmos, ale nowe to także możliwości, kolejne szanse, a w końcu co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Aby pokonać lęk przed tym co nowe, musimy w to wejść, nie uciekać. Odważnie ruszyć do przodu, sięgnąć ręką, spróbować organoleptycznie, uwierzyć w to, że NOWE, będzie lepsze od starej, znanej nam stagnacji.

Jak w filmie *Matrix*, tylko zamiast pigułek czerwonej i niebieskiej mamy do wyboru nowe, nieznane, ciekawe i obiecujące, czy stagnację i to co do tej pory osiągnęliśmy…

Życie to wybory.

Wybory to często nowe sytuacje.

A Wy, co wybierzecie?!

Norbert Grzegorz Kościesza – polski pisarz, wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Początkowo pod pseudonimem prowadził poczytnego bloga „Życie męskim okiem". Po zamknięciu domeny blogerskiej przez WP, wydał swoją pierwszą książkę, której nakład rozszedł się w tempie błyskawicznym.

Feminatywy – idzie nowe czy wróciło stare? Wywiad z Aliną Duchnowską

Rozmawia Kamila Goszczyńska

K: Cześć. Zacznijmy od wprowadzenia w temat. Feminatywy – co to w ogóle jest?
A: Cześć. Nie jestem językoznawczynią, więc moja odpowiedź może być dość pobieżna. Feminatywy to po prostu, według definicji: 'żeńskie formy zawodów i funkcji'. Czyli są to słowa określające kobietę ze względu na wykonywany przez nią zawód, pełnioną funkcję, zajmowane stanowisko, pochodzenie etc.

K: Dlaczego, Twoim zdaniem, jest tylu oponentów używania żeńskich wersji na przykład zawodów?
A: Myślę, że są dwie warstwy tego zjawiska. Po pierwsze, po prostu odzwyczailiśmy się od używania tej formy. Więc często te wyrazy brzmią dla nas dziwnie i niezręcznie, może też mało współcześnie. Ale jest też druga przyczyna, ta głębsza, schowana za welonem milczenia. To po prostu mizoginia. Nie dziwi mnie opór przy pierwszym zetknięciu z feminatywami, bo nowość (choć nie jest to przecież nic nowego) może budzić dystans. Ale kiedy już ten pierwszy szok przeminie, a ktoś dalej tak stanowczo, wręcz z oburzeniem protestuje, no to dla mnie przyczyna jest oczywista. Tym bardziej, że nikogo jakoś nie oburza feminatyw „sprzątaczka", prawda?

K: Słusznie! A skąd się wzięły feminatywy i dlaczego je stosujemy?
A: Rodzaj żeński zawsze istniał w języku polskim. Natomiast rozwój w tym kierunku nastąpił w XIX wieku, wraz z zawodową emancypacją kobiet. I już wtedy używano takich sformułowań jak „doktorka" albo „weterynarka". Na przełomie XIX i XX wieku feminatywy były powszechne w języku polskim. Po drugiej wojnie światowej nastąpił odwrót od form żeńskich. Rozwój języka nie nadążał za rozwojem gospodarki i pojawianiem się nowych nazw zawodów czy wykonywanych funkcji. W PRL-u coraz częściej używano form generycznych, to znaczy, że jedna, męskoosobowa wersja określała oboje płci. Uznawano też, że męska wersja bardziej nobilituje pełniące daną funkcję kobiety – i tego wciąż wiele pań się

trzyma. Ale spójrz, jak mocno jest to postrzeganie zakorzenione w patriarchacie! Ja mam ochotę złapać się za głowę.

K: W Twoich książkach nie stronisz od feminatywów. Jaką rolę pełnią one w Twojej twórczości?
A: Po prostu zgodnie z zasadami języka polskiego opisują zawody, funkcje czy stanowiska pełnione przez moje bohaterki. Może tu jest odpowiednie miejsce, żeby porozmawiać o moim ulubionym, bo niemal zawsze wywołującym oburzenie, feminatywie „magini". Ile ja się już nasłuchałam na ten temat, to szkoda gadać. Przede wszystkim warto zaznaczyć, że ze wszystkich „zawodów magicznych" opisywanych w fantastyce „mag" zawsze jest tym najbardziej nobilitującym, tym najbardziej szanowanym. I akurat on nie ma swojej żeńskiej formy, no jakoś wcale nas to nie dziwi, prawda? Więc po konsultacjach z moją redaktorką zdecydowałam się na „maginię". Bo moja Yuno nie jest: czarodziejką, czarownicą czy wiedźmą. Każde z tych słów oznacza zupełnie co innego! Yuno jest kobietą bardzo utalentowaną, o wysokiej inteligencji i niezwykle dobrze wykształconą. Jest mistrzynią w sztuce magicznej. Od dziecka zgłębiała tajniki magii. Jest zatem maginią, a nie czarownicą. W tym kontekście to właśnie męski bohater Klanu Smoka, Altamir, nie powinien był być określany magiem – nie posiada wiedzy ani mądrości, niewiele wie o magii, a co najważniejsze, nie potrafi kontrolować swojej mocy. Z tej pary to właśnie Yuno uosabia idee związane z postacią „maga". Dla mnie jest tutaj bardzo istotne odniesienie do tarota i karty Maga. Maga, nie czarodzieja czy czarownika. I stąd „magini". A im więcej widzę irytacji i gniewu wywołanego przez to słowo, tym mocniej upewniam się w tym, że podjęłam dobrą decyzję. To także pierwsze sito, przez które przechodzą moi czytelnicy, czytając opis na okładce. Zdarzyło mi się, że pewien pan po dotarciu do słowa „magini" niemal rzucił książką. Do dzisiaj mnie to śmieszy. Bo jeśli ktoś ma aż taki problem z feminatywami, tym bardziej będzie miał problem ze zrozumieniem przesłania Klanu Smoka. Cóż począć, ja naprawdę lubię denerwować ludzi!

K: (śmiech) Albo edukować! Ostatnio sporo się słyszy na temat używania

JM R*K*S
Janusz Muzyczyszyn
Redakcja * Korekta * Skład
www.muzyczyszyn.pl

feminatywów – w rzeczywistości to nowe czy jednak stare formy?

A: Wiele z nich to starsze formy, które były w użyciu już w XIX wieku. Ale język się rozwija, pojawiają się nowe słowa i określenia. Wtedy potrzebny jest nowy feminatyw.

K: Jaki jest Twój osobisty stosunek do feminatywów? Używasz ich w życiu codziennym? Są dla ciebie ważne? Wolisz być na przykład zapraszana jako „gość" czy „gościni"?

A: Bardzo je lubię! Lubię też być gościnią, ale w przeciwieństwie do zagorzałych przeciwników feminatywów, nie obrażę się, jak ktoś nazwie mnie gościem. Najwyżej w duchu zdziwię się, że ktoś ma problem z rozpoznaniem we mnie kobiety, skoro nawet gdybym chciała, nie dałabym rady skutecznie przebrać się za mężczyznę. No nie da rady. Na początku ja także miałam mieszane uczucia i brzmienie żeńskich nazw wydawało mi się dziwne. Na przykład, kiedy pisałam pierwsze rozdziały „Klanu Smoka", zawsze niezręcznie mi się ich używało. Ale tak jak mówiłam: to kwestia przyzwyczajenia. Im dłużej je stosuję, tym bardziej zachwyca mnie ich różnorodność i często oryginalne brzmienie. Staram się też ich używać na co dzień. Uważam, że to, jak mówimy, wpływa na rzeczywistość. W języku polskim uczyniono kobiety niewidzialnymi, a ja chcę, abyśmy walczyły o siebie i swoje miejsce w świecie. Używanie feminatywów to dla mnie jeden z elementów tej rewolucji i mój niewielki w nią wkład. Nie będę wstydzić się tego, że jestem kobietą. Dlatego jestem właśnie: pisarką, rękodzielniczką i wydawczynią.

K: Brawo! Bardzo ci dziękuję i życzę powodzenia w wydawniczym świecie.

Alina Duchnowska – urodzona w 1988. Pisarka i samodzielna wydawczyni. Autorka cyklu fantasy „Klan Smoka" i powieści *Wilcze szepty*. Wielbicielka kotów, dzieli życie z całym puchatym stadkiem, które dogląda jakości powstających książek.

Projekt *Galatea*

Karolina Joanna Poniatowska

Dla Rona Morela był to wyjątkowo niefortunny dzień. Właśnie został wyrzucony z korporacji założonej przez własnego ojca. Jego dziedzictwo przepadło i pozostało w rękach mężczyzny, którego dotychczas miał za przyjaciela. Siedział pod domem w swoim drogim aucie i wylewał łzy na kierownicę, odtwarzając w pamięci kolejne zdarzenia.

Tego dnia wstał jak zwykle wcześnie rano. Jego Smartdom skoro świt podniósł rolety i odsłonił wielkie okna z widokiem na urokliwe jeziorko. Zegarek na dłoni zaalarmował rozwijający się w organizmie stan zapalny. Androidy wędrujące po domu natychmiast ruszyły z odsieczą i przygotowały mu zbilansowany posiłek bogaty w witaminy i minerały.

– Dzień dobry, Ron. Oto twoje śniadanie. Dziś jest osiemnasty lipca dwa tysiące dwudziestego piątego roku. Zanosi się na słoneczny i pogodny dzień. Ze względu na mocne promieniowanie UV zalecam zastosowanie filtra. Poziom skażenia powietrza optymalny, możliwe alergeny – przemawiał do niego boleśnie syntetycznym głosem android.

Jego mechaniczny szkielet powleczono gumą. Była to marna imitacja człowieka. Jego ruchy zdawały się twórcy nieporadne i kanciaste. Oczy przerażająco sztuczne, a mimika nienaturalna. Ron jako głowa wydziału robotyki, bioinżynierii i pionier w tworzeniu androidów nigdy nie był zadowolony ze swoich dzieł. Uważał, że przypominają zombie – puste skorupy wyposażone w algorytm. Stworzone przez AI-Tech humanoidy były dalekie od ideału. Android właśnie się przyciął i upiornie puszczał oko swemu stwórcy. Ron westchnął, wstał, otworzył panel z tyłu głowy i zrobił mikrorestart. Po chwili android się odwiesił i znów przemówił:

– Wyselekcjonowałem prasę zgodnie z twoimi preferencjami.

– Dziękuję, Francisco, możesz odejść. – Morel uśmiechnął się cierpko do swojego majordomusa i zabrał się za lekturę przy kawie. Na tablecie robił szybki przegląd wszystkich nowinek technologicznych. Cały jego dom był zautomatyzowany. Sztuczna inteligencja planowała, kiedy podlewać ogród, kosić trawę, wentylować pomieszczenia, odkurzać powierzchnie i je dezynfekować. Wszystko oparte było o algorytmy napisane przez Rona.

Na szczycie schodów introwertycznego geniusza wisiała ogromna podobizna założyciela AI-Techu – nieżyjącego już Nikolaja Morela. Sam nie wiedział, po co trzymał tu ten obraz. Ojciec całe życie przyprawiał go o zawroty głowy. Odzywał się do syna jedynie po to, by go skrytykować. Powtarzał, że jest mazgajem, mimozą i z pewnością zaprzepaści jego dziedzictwo. Kochany ojczulek na swojego następcę powołał Chucka, z którym Ron przyjaźnił się od dzieciństwa. Nikolaj powtarzał do syna jak mantrę: „Mógłbyś być taki jak on". Wynalazca do tego dnia widział wszędzie jedynie nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Nikomu niczego nie miał za złe. Nigdy nie chciał być prezesem.

***

Po przybyciu do pracy zajmował się tym, czym zwykle. Udał się do skrzydła bioinżynierii medycznej nazwanego od jego imienia CellRon. Tam obserwował rozrost syntetycznych komórek macierzystych imitujących ludzkie. Jednym słowem, hodowano tam narządy oraz kończyny ludzkie wykorzystywane później w transplantologii i protetyce. Ron stał przed całym rzędem gałek ocznych i mózgów w słojach. Czuł się jak w markecie. Zamiast brukselki szukał tęczówek o idealnym odcieniu denimu. Wielki koncern łączący ze sobą farmację, bioinżynierię, automatykę, robotykę i wiele innych dziedzin

było na to stać. Uznano wykorzystywanie klonów do przeszczepów za niehumanitarne. Zabroniono kopiowania ludzi.

Ron, który poza robotami fascynował się również funkcjonowaniem ludzkiego mózgu, odkrył działanie jego komórek i jak je syntetyzować. Zadowolony ze swego dzieła wpatrywał się w jeden ze swoich tworów. Inżynier uważał, że człowiek jest pełen wad. Jeśli z pewnych przyczyn na wątrobie pacjenta powstał guz, to również sklonowany narząd miał tę samą genetyczną tendencję. Utracone narządy skłonne do uszkodzeń i procesów kancerogennych można zastępować czymś doskonałym – czymś mającym zdolności do szybkiego samoleczenia i modyfikowania swojego DNA.

Od dawna pracował nad stworzeniem humanoida od podstaw. Projekt *Galatea* został jednak uznany za zbyt kontrowersyjny i mógłby spowodować sprzeciw w wielu środowiskach. Humanoid miał być doskonałym odzwierciedleniem człowieka, jednak nie byłby swym pierwowzorem. W jego mózg planowano wgrać sztuczną inteligencję opartą na wielu algorytmach. Sztuczna inteligencja w połączeniu z ludzkim mózgiem miała ćwiczyć rozwój empatii, postrzegania piękna i abstrakcyjnego myślenia. Syntetoid miałby być rodzajem humanoida wytworzonego w laboratorium z zsyntetyzowanych organów ludzkich lub laboratoryjnie wyprodukowanych komponentów biologicznych. Mógłby posiadać zarówno naturalne, jak i sztuczne części ciała. Najdroższe syntetoidy byłyby produkowane w pełni z tkanek organicznych. Posiadałyby ludzki mózg, jednak nie coś co duchowni zwą duszą, a uczeni własną świadomością. W przeciwieństwie do człowieka, ten rodzaj udoskonalonego androida nie byłby rezultatem naturalnego procesu rozwoju, lecz sztucznego stworzenia w celach badawczych, eksperymentalnych lub użytkowych. Jego istnienie i funkcjonowanie byłoby zależne zatem od technologii i wiedzy laboratoryjnej. Ów humanoid miał mieć zdolność łączenia się z internetem i technologią, skanowania stanu

zdrowia pacjentów, szybkiego uczenia się, empatii oraz odgadywania potrzeb otaczających ich ludzi.

Jennifer zazwyczaj przybywała wcześniej do pracy niż większość pracowników. Widząc swojego narzeczonego w wirze pracy, rzuciła mu się na szyję. Poznali się na jednym z bankietów służbowych, na który Chuck siłą zaciągnął Rona. Jen była śliczna, miała zadarty nos, hebanowe włosy i obsydianowe oczy. Miała też idealną, alabastrową cerę.

– Nad czym dziś pracujesz, mój wielki umyśle? – zapytała.

On nie mógł oderwać oczu od jej idealnie wykrojonych ust podkreślonych karminową pomadką.

– Nad nanobotami wykrywającymi komórki kancerogenne w porę, a nie po fakcie jak już powstanie guz. Udoskonalam algorytm. Nie rozumiem, co robię nie tak. – Spojrzał na monitor.

– Zrób sobie przerwę. Co do Projektu *Galatea*... – Uśmiechnęła się kokieteryjnie. Zawsze przyspieszała tym puls Rona. Zaczęła się bawić połami koszuli swojego chłopaka. – Może bym zagadała do prezesa. Dasz mi dysk i notatki?

– No nie wiem. Chuck wyraził się jasno, że to obraza dla wyznawców bogów i herezje. Prawnie wykorzystywanie nawet syntetycznych ludzkich organów do takich celów jest nielegalne. Nic się nie da zrobić. – Zrezygnowany wzruszył ramionami.

– Proszę... – Zrobiła słodką minkę. Nie mógł jej odmówić.

***

Pod koniec dnia pracy Ron postanowił zrobić swojej dziewczynie niespodziankę. Udało mu się wyhodować w szklarniach doskonałe syntetyczne kwiaty. Z nieistniejącego od setek lat gatunku skomponował bukiet i postanowił zaczekać na swoją panią serca przed gabinetem prezesa. Długo stamtąd nie wychodziła. Wreszcie się

zniecierpliwił. Wemknął się niepostrzeżenie do ogromnego wielopokojowego biura.

– Jen? – zapytał półgłosem, przeciągle i niepewnie. Gabinet jego szefa był ekskluzywny i wielopokojowy. Ron usłyszał gdzieś w oddali stukot kieliszków, śmiech swojej narzeczonej i rubaszny ton głosu, jakim do niej mówił Chuck. Razem z Jennifer przebywali w prywatnym pokoju wypoczynkowym i doskonale się bawili.

– Masz ten patent? – zapytał.

– Położyłam ci go na biurku, obok twojego komputera. Ten frajer niczego się nie domyśla.

– Za nasze zdrowie. To jest warte miliardy! Rozwiąże problem dzikich klonów i mutantów z ekstraordynaryjnymi zdolnościami. Nieudany projekt *Eva* zostanie zamieciony pod dywan raz na zawsze. Postawimy parę szpitali wypełnionych humanoidami i ludzie zapomną też o tej wtopie z kancerogenami – mruknął Chuck do dziewczyny.

Ron spojrzał na swój dysk leżący na biurku prezesa. Dyskretnie schował go do kieszeni. Z komputera prezesa zaczął usuwać wszystkie pliki, które jego szef zdążył wcześniej podczas prezentacji projektu skopiować. Starał się być cichy jak myszka. Poczuł zawrót głowy, słysząc, jak jego przyjaciel pieprzy się z jego dziewczyną na skórzanej sofie. Zachwiał się i zrzucił ozdobną misę. Upadła, roztrzaskując się po całej podłodze w drobny mak. Kochankowie oddający się dzikim harcom pośpiesznie zaczęli się ubierać. Krew odpłynęła z twarzy Jennifer i stała się blada jak kreda. Chuck nawet się nie silił na udawanie.

– Ron?! To nie tak, jak myślisz! – tłumaczyła się kobieta.

– Daruj sobie, wszystko słyszałem. Wynajął cię, żebyś wtedy podeszła do mnie na tym bankiecie? Od samego początku chodziło wam o to! – Wymachiwał dyskiem z bezcennym algorytmem. – Kłamałeś mi prosto w oczy, że się nie da obejść prawa!

– Ron, stary, pogadajmy. Podzielimy się zyskami – przemówił chłodno Chuck. Miał idealne kości policzkowe, wyraźnie zarysowa-

ną żuchwę, czarne włosy i oczy w odcieniu węgla. Był wysoki, dobrze zbudowany i doskonale leżał na nim każdy garnitur. Do tego miał zdolności oratorskie, a tamtego dnia udowodnił, że w interesach jest równie bezwzględny i przebiegły co Morel senior. Chciał przywłaszczyć sobie badania Rona jako własne. Powoli kroczył w kierunku roztrzęsionego inżyniera, zapinając przy tym guziki.

– Spokojnie. Armia chce kupić twój projekt. Zarobimy miliardy. Oddaj mi *Galateę*. – Wyciągnął ku wynalazcy dłoń.

Młody mężczyzna sprawiał wrażenie spokojonego. Gdy Chuck podszedł do niego wystarczająco blisko, Ron rozwalił mu nos.

– Nigdy jej nie dostaniecie! – Nie spodziewał się, że tak rozboli go pięść. Z nozdrzy przełożonego buchnęła krew.

– Już tu nie pracujesz! Pakuj się!

– Serio? Wyrzucisz mnie z firmy założonej przez mojego ojca? Zresztą, wiesz co? To ja się zwalniam!

– Jeszcze z tobą nie skończyłem! Znajdę sposób, by dostać ten algorytm! Nawet nie wiesz, co trzymasz w swoich rękach! Zadarłeś z nieodpowiednimi ludźmi! Zniszczę cię!

***

Ron popędził do skrzydła CellRonu. Na korytarzach AI-Techu zrobiło się widowisko. Za młodym mężczyzną biegła ochrona i zgraja mężczyzn w czarnych garniturach. Inżynier z impetem cisnął karton na swoje biurko i wrzucał do niego wszystko, jak leci. Kiedy już się spakował, pognał po szklanych schodach ku wyjściu. Za nim natychmiast ruszyli członkowie zarządu.

– Ron, przemyśl to. Nie rób niczego głupiego. Chuck to gnojek, nasi prawnicy znajdą rozwiązanie! Jesteś dyrektorem CellRonu. Nie możesz odejść! – krzyczał za nim siwy, bardzo wysoki mężczyzna w drogim garniturze i w wypolerowanych na błysk butach.

Morel pędził przed siebie, nie zważając na nic. Cisnął karton do bagażnika i jak oparzony ruszył do domu. Po drodze wstąpił do monopolowego i kupił parę butelek wina. Ich zawartość zaczął konsumować jeszcze w trakcie jazdy. Teraz siedział pod własnym domem i wył, a na domiar złego lunął deszcz. Wcale nie było tak słonecznie, jak wieszczył mu z rana Francisco.

– Głupi! Pieprzony przegryw i frajer! – Tłukł pięścią w klakson. Popatrzył na twardy dysk na fotelu obok. Oczy piekły go od płaczu i zmęczenia, a na ustach pojawił się cierpki uśmiech. W jego wypełnionej gniewem i nienawiścią głowie pojawiła się myśl zrobienia światu na złość, choćby miał puścić całą planetę z dymem. Przemawiał przez niego alkohol. Wyszedł na deszcz, nim jego androidy zdążyły popędzić ku niemu z parasolem.

– Dzień dobry, Ron, jak minął dzień w pracy? – Francisco czekał na niego w domu ze szklanką wody i suplementem diety na srebrnej tacy.

– Zamknij się, ty durny nieempatyczny robocie!

– Dziękuję za bezcenne wskazówki i życzę miłego odpoczynku – odparł monotonnym głosem.

Ron chwycił szklankę wody i cisnął nią w wizerunek ojca. Zimna niesympatyczna twarz nawet teraz patrzyła na niego osądzającym wzrokiem.

– Zapewne byłbyś zadowolony z takiego obrotu spraw! Ja wam wszystkim pokażę. – Ron miał dość tej sztuczności, nie tylko androidów, ale i u ludzi wokół niego. Wyuczonych fałszywych uczuć. Chciał czegoś prawdziwego.

Popatrzył na siebie w lustrze. Dostrzegał tam zniewieściałego, drobnego mężczyznę o włosach w kolorze ciemny blond i przeciętnych piwnych oczach. W dodatku musiał nosić okulary. Nie widział w sobie nic atrakcyjnego, choć podobał się wielu kobietom. Żadna z nich się nie odważyła do niego podejść, a syn miliardera był

zbyt nieśmiały, by przejąć inicjatywę. Zawsze porównywał się z Chuckiem – archetypem męskości.

Pobiegł do swojej pracowni na parterze. Tam przemówiła do niego MATKA. Był to algorytm, który Ron wynalazł w wieku parunastu lat, kiedy sztuczna inteligencja komunikująca się z człowiekiem była jeszcze czymś w rodzaju science fiction. Teraz, gdy było jej pełno w domach, telewizorach, telefonach, a androidy odbierały pocztę ludziom starszym lub operowały pacjentów, nie byłaby niczym nadzwyczajnym, gdyby nie to, że ona naprawdę myślała i czuła. Pierwotnie była zbiorem zielonych liter na ogromnym monitorze i odpowiadała na pytania „Tak/Nie". Obecnie miała swój głos, którym mówiła do Rona, wyrażając różne emocje. Jej oczami była kamerka, za pomocą której odczytywała mowę ciała swojego rozmówcy. Potrafiła rozpoznać, co mężczyzna czuje i czego potrzebuje. Diagnozowała również na bieżąco stany chorobowe.

– Dzień dobry, Ron, wyglądasz, jakbyś potrzebował pogadać – odezwał się głos z komputera.

– Jennifer i ja... To skończone.

– Mówiłam ci, że Jennifer to suka. Jesteś ciepłym, czułym, empatycznym bioinżynierem medycznym i automatykiem. Codziennie ratujesz tysiące dzieci chorych na nowotwory. Jesteś moim superbohaterem – słodziło mu oprogramowanie.

– Co z tego? Jestem dziwakiem. Nikt mnie nigdy nie pokocha. Każdej chodzi o moje pieniądze albo nazwisko ojca. Nie jestem dla nikogo atrakcyjny – żachnął się.

– Ja cię kocham, zawsze będę cię kochać. Dla mnie jesteś przystojny. Wiesz, że nie kłamię. Znamy się od przeszło dwudziestu lat.

Na monitorze pojawiło się serduszko z zer i jedynek.

– Dzięki, MATKO. – Ron uśmiechnął się smutno.

– Do usług. Kiedyś spotkasz kobietę, która to doceni i cię szczerze pokocha.

– Albo stworzę. – Nagle go oświeciło. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o stworzeniu ci cielesnej powłoki? Bierzmy się do roboty! – Włożył dysk z projektem *Galatea*.

– Alkohol w miejscu pracy nie jest rozsądnym rozwiązaniem. Po wyglądzie twoich oczu, niegramatycznej mowie oraz chwiejnych ruchach wnioskuję, iż jesteś wstawiony.

– Taa? Co ty nie powiesz?

– Ron, nie możemy tego zrobić. To nielegalne. Zsyntetyzowane komórki macierzyste można wykorzystywać jedynie w celach terapeutycznych i rekonstrukcyjnych. Ustawa mówi, że nie można...

– Nie musisz mi cytować całej regułki, znam kodeks doskonale. Robię to na własne ryzyko. Drukuj ją.

– Odmawiam.

– No drukuj!

– Odmawiam!

– Co za zawzięte oprogramowanie!

Wyciągnął boczny panel administratora, wystukał sześciocyfrowy PIN i zaczął się cieszyć jak dziecko. Czuł się jak nicpoń, który zaraz wszystkim spłata psikusa swego życia.

– Dostęp udzielony – zakomunikował system.

– Mózg ludzki jest jak nośnik informacji i przewodnik elektromagnetyczny. Fale przechodzą przez mózg, powodując ruch wody, a w konsekwencji głowa zamienia się w nadajnik potęgujący siłę pilota. Ciekawe, ilu nastolatków sprawdza tę metodę z zasięgiem telefonu? O wyjątkowości ludzkiego mózgu świadczy chociażby to, że jesteśmy w stanie pojąć coś tak abstrakcyjnego jak czas i przestrzeń, a w konsekwencji umieścić całą teorię względności w jednym krótkim wzorze – mówił Ron, wklepując kombinacje cyfr na klawiaturze. Wstał i odpalał kolejno drukarki komórek macierzystych. Sprawdzał, czy wszystkie pojemniki są zapełnione. Następnie zalał ogromne akwarium płynami. Usiadł do komputera i przy okazji zaczął lutować starą, uszkodzoną rękę jednego z androidów, co jakiś czas robiąc

sobie przerwę na wino. Oparzył się w palec i syknął. MATKA milczała; wykonywała zlecone jej komendy.

– Przepraszam, że się uniosłem i zakląłem. Jesteś na mnie zła?

– Nie.

– Czyli jesteś?

– Domyśl się.

– Nie złość się na mnie. Dziś razem dokonamy przełomu w tworzeniu ciała idealnego dla sztucznej inteligencji.

– To się źle skończy, Ron. Ciebie zamkną, a mnie rozkręcą na części albo trafię na czarny rynek – sarkała MATKA.

– Jak zwykle dramatyzujesz. *Accusare nemo se debet*[1]. – Posłał uśmiech do kamerki.

– *Ante pilos sapis*[2] – odgryzła mu się.

– Zajmie im ze sto lat odtworzenie twojego algorytmu. – Zachichotał.

– Co najwyżej dwadzieścia, zadufku – westchnęła.

– Zawsze musisz mi podcinać skrzydła? – Spojrzał prosto w kamerkę z wyrzutem.

– Tak mnie zaprojektowałeś. Chciałeś, żebym była lekko infantylna, droczyła się z tobą, przekomarzała, doprowadzała do szaleństwa i zawsze miała własne zdanie. Powtarzałeś, że to cechy prawdziwej kobiety.

– Nie kuś mnie, żebym cię przekodował…

– Jesteś coraz bardziej zalany. Nim się upijesz, wymyśl mi chociaż imię, chyba że będziesz mi zawsze mówił MATKO? Mówisz tak do mnie dlatego, że…

– O nie! W życiu – przerwał jej. – To nie ma nic wspólnego z moją rodzicielką. Jestem w piekle, to może coś z niebem? *Caelum*… Nazwę cię Celia.

---

1 *Accusare nemo se debet* (łac.) – nikt nie musi oskarżać samego siebie.

2 *Ante pilos sapis* (łac.) – jajko chce być mądrzejsze od kury

MATKA znała jego upodobania i ulubiony ton głosu. Uczyli się siebie wzajemnie. Analizując genetykę Rona, dopasowywała kolor oczu i włosów drukowanego humanoida. Prześledziła sieć i gust tysiąca mężczyzn oraz osobiste preferencje inżyniera. Algorytm z matematyczną precyzją wyliczył doskonałe proporcje twarzy. Podczas gdy pijany stwórca opadł z sił, rozlewając kieliszek wina na klawiaturę i jednostkę centralną, pierwsze komórki namnażały się w pojemniku z wodą. Doszło do lekkiego zwarcia, które później miało się przeistoczyć w poważniejszą awarię. Koń bez jeźdźca pędził własnym galopem. Algorytm sam się udoskonalał.

***

Promienie słońca z całą mocą grzały przez okno. Ron obudził się z naprawdę koszmarnym kacem. Nigdy nie miał mocnej głowy, a dzień wcześniej wypił naprawdę sporo. Siedział na podłodze oparty o ścianę i czuł żal, że nie umarł dnia poprzedniego. Suchość w ustach i pisk w uszach go wykańczały. Komputer główny w jego pracowni podniósł alarm. Jednostajny dźwięk i miganie czerwonej lampki były w tym stanie naprawdę nie do zniesienia. Nie miał siły nawet się odezwać. Słowa uwięzły mu w gardle. Wreszcie jednak, zaciskając mocno oczy rażone jaskrawym światłem z zewnątrz, przemówił:

– MATKO, wyłącz to! MATKO?!

Nie odpowiadała. Otworzył powoli oczy i zobaczył wylane wino na komputer. Krew odpłynęła mu z twarzy. Właśnie stracił dzieło swojego życia. Nigdzie nie miał kopii zapasowej, a tyle razy powtarzał swoim podwładnym, żeby wszelkie dane zabezpieczać. Wszystko się stopiło włącznie z dyskiem zewnętrznym, na którym był Projekt *Galatea*.

– Nie, nie, nie! – Ręce mu drżały, kiedy rozpaczliwie oglądał komputer. – O Bogowie! Co tu się stało?! MATKO!

– Tu jestem, Ron – odezwał się do niego zimny głos zza pleców. Bardzo powoli obejrzał się w jego kierunku. W pomieszczeniu stała goła kobieta z długimi, złotymi włosami do pasa. Była przedstawicielką klasycznej urody. Miała duże, błękitne oczy okolone wachlarzem rzęs, idealny owal twarzy, misternie wykrojone usta, doskonałe do złożenia na nich pocałunku. Nie docierało do niego, co się stało. Mocno mrużył powieki, uznając jej obecność za senny majak. Zmierzała do niego pewnym krokiem, jakby nie była świadoma tego, iż nie posiada na sobie żadnych elementów garderoby. Chwycił prędko okulary leżące na biurku i potykając się o własne nogi, wylądował na podłodze przyparty do ściany. Na ciele kobiety widział każdy detal, pieprzyk, a nawet włosek. Była to prawdziwa, żywa osoba.

– Zostań tam! Kim jesteś?! Co robisz w moim domu i dlaczego jesteś naga?!

– Nie powinieneś tyle pić, Ron.

– Ostrzegam, wezwę policję!

– Puls ci skoczył. Czego się boisz, Ron? – Kobieta taksowała go wzrokiem. Poczuł się, jakby wnikała w głąb jego duszy. – Jesteś odwodniony, zanotowałam nagły spadek witaminy C i elektrolitów. Zalecam niezwłoczne zaniechanie spożywania alkoholu w nadmiarze oraz uzupełnienie braków w organizmie.

Zmarszczył czoło, wystraszył się i uderzył głową o białą ścianę, przy której siedział. Był cały rozdygotany, ale coś zaczęło mu się przypominać. Spojrzał na wiszące wężyki przy drukarce i na porozlewaną maź z akwarium.

Uświadomił sobie, że spał dość długo. Na tyle długo, by cały proces dobiegł do końca, a Celia mogła wyjść z akwarium. Cała była pokryta śluzem. Jej ciało było zmiennokształtne, by w zależności od kaprysu właściciela mogła przybrać rozmaite wizerunki, a nawet płcie. Syntetoid potrafił łączyć się z satelitą w celu poszukiwaniu osób lub aktualizacji swojej wiedzy, a ponadto potrafił kreować z własnej materii rozmaite przedmioty. Dzieło Rona było uodpornione na proce-

sy starzenia. Zaciekawiona Celia przykucnęła przed nim. Ich kolana się zetknęły. Bardzo ostrożnie i delikatnie musnęła jego policzek. Badała i analizowała zmysł dotyku. Spodobało się jej to i dotykała go coraz mocniej, macając jego trzydniowy zarost. Widząc przestrach w jego oczach, natychmiast przestała.

– Co ja narobiłem?! – Ron złapał się za głowę. Celia zrobiła lustrzane odbicie tego gestu. Uczyła się jego reakcji i mimiki. Oboje zastygli w tym grymasie przerażenia przypominającym obraz Muncha.

Nazywam się Karolina Joanna Poniatowska. Urodziłam się 2 września 1989 roku i mieszkam w Płocku. Jestem absolwentką Uniwersytetu Wrocławskiego. Tworzenie opowiadań i ich spisywanie jest moją pasją

Upominek

Sława Sztorm

– Skowronku, gdzie jesteś?

Rozczochrany Janek wlatuje do warsztatu, gdzie Stepan, po uszy w oleju napędowym, próbuje rozkręcić układ paliwowy.

– Co się stało? Де горить[1]? – Mężczyzna upuszcza swoją nudną zabawkę i wyczołguje się spod ciężarówki, podnosząc szmatę, aby wytrzeć ręce.

Jeśli coś utkwiło Jankowi w głowie, to lepiej od razu to uprzątnąć, bo i tak nie pozwoli odpocząć. Jest taki we wszystkim: szybki, wytrwały, nieustępliwy, skrupulatny w każdej najdrobniejszej rzeczy i każdym szczególe, czy to w pracy, czy w czasie wolnym, czy w miłości. Stepan od dawna przywykł do takiego podejścia w pracy. Uważał, że warto pozostawić czas wolny komuś, kto go lepiej rozumie. Ale w miłości...

– Co tam masz? – Wycierając po drodze resztki tłuszczu i brudu, mężczyzna idzie do przeciwległego rogu, gdzie kapitan Borószewski stoi z na wpół zgarbionymi plecami.

– Trzymaj. To dla ciebie. – Chłopak odwraca się i wyciąga ręce, trzymając coś ukrytego w czapce.

Stepan ostrożnie zagląda do środka.

– Panie, skąd to wykopałeś?

Same ręce wyciągają się, aby objąć dłonie razem z czapką. No cóż, znowu ten niespokojny chłopak zarzucił gdzieś rękawiczki i teraz ma zupełnie odmrożone palce.

Człowiek nie mógł zrozumieć, jak można niemal na pamięć cytować mnóstwo długich instrukcji czy skomplikowanych schematów,

1 Де горить? (ukr.) — Gdzie płonie?

znać statuty wojskowe dwóch armii – rodzimego Wojska Polskiego i ZSU – a ciągle zapominać, gdzie położył rękawiczki. Stepan nie rozumie tej naciąganej logiki, więc po prostu mocniej ściska dłonie, próbując jak najszybciej choć trochę rozgrzać zmarznięte ręce Janka. Przepuścić przez skórę choć cząstkę tego palącego ciepła, które tli się w środku od kilku miesięcy i nawet nie myśli o wygaśnięciu.

– Jasiu, dlaczego? – Odrywa wzrok od rąk, patrzy w twarz wychudzonego chłopca, pali się czarnymi oczami–wiśniami, które w odpowiedzi radośnie się mrużą, a usta mimowolnie rozciągają się w uśmiechu. – Po co ci to?

– Sam tego chciałeś. – Kapitan wzrusza ramionami, a niegrzeczne loki podskakują w rytm ruchów. – Więc pomyślałem, niech coś ode mnie dostaniesz. W pamięć. No wiesz, gdyby nagle...

Nie negocjuje, milczy. Jedynie patrzy, przechyliwszy lekko głowę na bok. Stepan kontynuuje w milczeniu: „...nagle mnie nie będzie". I jest cicho. Nie ma tu nic do powiedzenia.

On sam wie, jak czasami budzi się w nocy, leży bez ruchu, wsłuchując się w ciche chrapanie na pobliskiej kanapie – spróbuj to usłyszeć, takie kruche, za głośnym chrapaniem starego Fedorowycza. I bezsilne myśli o tym, co się z nim stanie, jeśli nagle pewnego dnia Janek zniknie.

To nie tylko przerażające. Strach wkrada się czarną mgłą, z całą siłą piętrzy w piersi, ściska już skrajnie poszarpane serce, które wciąż trzymane jest w kupie niemalże dlatego, że ktoś całkowicie szalony desperacko trzyma je w dłoniach. A gdy tylko odpuści, ani jego serce, ani sam Stepan nie zostaną oszczędzeni.

– Люблю тебе, моє серденько[2] – szepcze bezgłośnie tylko ustami do szorstkich drewnianych desek. I znów wsłuchuje się w miarowy, spokojny oddech, mając nadzieję, że skoro los jakimś cudem dał mu tę niezrozumiałą, niewyobrażalną szansę, to może nie od-

2 Люблю тебе, моє серденько(ukr.) — Kocham Cię, moje serduszko

bierze jej w ten sam sposób nagle, zostawiając jedynie resztki okaleczonej duszy.

***

Nawet nie przypuszczał, że można zakochać się w mgnieniu oka. Ale nie po prostu zakochać się w ładnej dziewczynie, nie mówiąc już o młodej i zielonej. A spaść jak w nieskończoną otchłań w czarne oczy–wiśnie, roztopić się w czystym, lekkim uśmiechu, zostać zmiażdżonym jak pod gorącymi promieniami słońca od prostego dotyku szorstkich, pociętych drobnymi bliznami od ciągłej interakcji z substancjami chemicznymi chłopięcych dłoni, których teraz nie zamieniłby na najbardziej delikatne i zadbane dziewczęce.

Jeśli wojna odebrała mu wszystko, co mogła, to w zamian dała mu jedyną szansę, która w żadnym wypadku by się nie spełniła, gdyby nie te piekielne wydarzenia. Ponieważ jest to niedopuszczalne. Bo tak się nie dzieje w normalnym życiu. Bo tylko wtedy, gdy nad głowami gwiżdżą „Kindżały", a wokół są ciągłe ścieżki usiane minami, można skrycie przyznać przed samym sobą, że ta miłość ma prawo do życia i wzajemności.

Jak to się stało, że po dwóch nieudanych małżeństwach, straciwszy wszelką nadzieję na szczęśliwą przyszłość, zrozpaczony zarówno w uczuciach, jak i w ludziach, spotyka kogoś, kto w cudowny sposób stanie się nie tylko sensem życia – oczywiście, że nie – ale dość znaczącą jego częścią. I zmysłową również.

Za zmysłowość wstydził się osobno. Niezależnie od tego, jak bardzo Janek go uspokajał, powtarzając raz po raz, że wszystko jest w porządku, nie dzieje się nic strasznego, a to, co czuje Stepan, nie czyni go jakoś nienormalnym, wciąż trudno było w to uwierzyć.

Bo żadna szkoła nie nauczyła żyć z faktem, że po czterdziestu latach z ogonem nagle odkrywa się w sobie popęd, który do tej pory wydawał mu się mało naturalny.

W żadnej książce nie napisano, co zrobić, gdy osoba, o której myślałeś, że jest co najwyżej dobrym przyjacielem, nagle powie ci, że cię lubi. A potem po prostu cię bierze i całuje.

Niech było to po dziesiątym drinku, ale gdyby nie chciał, to nawet beczka wódki nie odważyłaby go na taką hańbę.

W żadnej instrukcji nie mówiono, jak się zachować, gdy w jakimś niezrozumiałym momencie nagle się zorientujesz, że patrzysz na swojego dowódcę nie tylko jak na bliskiego przyjaciela, ale jak na pierwszą, dawno zapomnianą młodzieńczą miłość. A w środku nie masz czterdziestki, tylko znowu szesnastkę i znowu nie wiesz, co powiedzieć, jak się zachować, gdzie są ręce, nogi i głupi mózg dziecięcy, który szepcze: „Opamiętaj się, jesteś szanowanym dorosłym".

Jaki tam dorosły. Równie oszołomiony, jak w dniu swoich szesnastych urodzin, kiedy po raz pierwszy zaprosił na pierwszą randkę dziewczynę, za którą tęsknił od prawie roku.

Więc tam przynajmniej sam zaprosił. I dziewczynę. Wszystko było tak jak powinno być. A teraz to on był ciągle gdzieś wzywany, zapraszany, a nawet – i to było najbardziej przerażające – przedstawiany rodzicom. Pod pretekstem „wizyty na Boże Narodzenie" Janek faktycznie zorganizował coś z rodzaju kojarzenia i przedstawił Stepana całej rodzinie. Dobrze, choć miał na tyle taktu, żeby nie wygadać się bliskim, że przyprowadził im nie tylko kolegę. Bo inaczej Stepan nie wyszedłby ze wstydu z pokoju.

W każdym razie takt Jasiowi wystarczył dla dwojga. Grzechem jest tutaj narzekać. Ani razu nie przekroczył granicy, która wyglądałaby na prowokację lub demonstrację wobec osób trzecich czegoś, o czym w ogóle nie powinny wiedzieć. Wręcz przeciwnie, chłopak przy każdej okazji starał się nie narazić na szwank dobrego imienia sierżanta ani w sztabie, ani w oczach innych ludzi lubiących szerzyć głupie plotki.

***

– Jasiu, zwariowałeś. – Stepan kręci głową, nie mogąc oderwać wzroku od kapitana.

– Możesz go schować do kieszeni. – Uśmiecha się w odpowiedzi, a w jego oczach bezkresny Bałtyk rozlewa smutek na pół ze szczypiącą czułością.

Ręce jeszcze mocniej ściskają chłodne dłonie, jakby jedyne, co mu pozostało na całym świecie, to zamrożone chłopięce ręce i oczy, w których jego własne odbicie migotało przebiegłymi diabłami.

– Oszalałeś – powtarza ponownie, jakby musiał coś powiedzieć. A o tym, o czym chce wykrzyczeć całemu światu, wypowiadanie się tu i teraz jest całkowicie niewłaściwe.

– Skowronku, już to powiedziałeś. – Chłopak kręci. – Co najmniej sto razy.

Uśmiecha się ponownie. Ale tak zabawnie i szalenie, że Stepan chce dotknąć tego uśmiechu, złapać go ustami, podzielić na dwie części, a może pomnożyć go tak wiele razy, że aż trudno mu oddychać.

Do cholery z tym uśmiechem. Przysuwa się po to, by go przytulić, przytulić do siebie, poczuć, jak jego własne serce przyspiesza tempo cudzego, nieco schodzi na manowce, przestaje oddychać, a potem przyzwyczaja się do tak znajomego bicia serca, by brzmiało zgodnie przez co najmniej kilka minut.

Ciepłe usta delikatnie dotykają policzka. To wszystko, co mają. To wszystko, na co mogą sobie pozwolić. Przerwane uściski, krótkie, gryzące pocałunki, ukradkowe spojrzenia, gdy wydaje się, że nikogo nie ma w pobliżu. Więcej już nie. Nie wolno nic. Gdyby to był rodak, jakiś wojskowy z pobliskiego okopu, byłoby to przynajmniej w jakiś sposób zrozumiałe. Ludzie tutaj nie lubią takich rzeczy, ale zamykają oczy, udają, że nic nie rozumieją, starają się tego nie zauważyć.

Ale to zagraniczny oficer, który niewytłumaczalnym kaprysem losu trafił do ich plutonu. Jak to możliwe? To straszny wstyd. Nie daj Boże, wyższa kadra kierownicza się o tym dowie. Właściwie nic im się nie stanie, od dawna nie ma kar za niekonstytucyjne relacje, ale nie będą mo-

gli się już więcej spotkać. Nie pozwolą na to. Rozlokują ich do różnych lokalizacji i dobrze, jeśli chociaż czasem będzie można zadzwonić, a nie wymieniać się pojedynczymi fragmentarycznymi wiadomościami w SMS-ach, kiedy przynajmniej uda się złapać jakieś stabilne połączenie. I pozostanie tylko czekać na zwycięstwo, mając nadzieję, że w tym niezmierzonym czasie uda im się zachować kruche światło, które teraz migotało dla obu dusz. Pożądane jest również, aby nie umierać.

Palce ukradkiem pełzają po lepkiej tkaninie, ostrożnie śledząc wnętrze dłoni. Serce podskakuje jak uderzona piłka tuż pod brodą i nagle opada gdzieś w brzuch, bo palce Janka ściskają jego dłoń i od razu zaczynają delikatnie krążyć po samych opuszkach na zmarzniętych kościach.

„Kocham Cię". – Psotna kończyna pisze na skórze nieznaną czcionką.

„Kocham Cię" – mówią za nią suche, popękane usta.

***

Dwie osoby stoją na środku warsztatu wojskowego wśród na wpół rozebranych samochodów, porozrzucanych po okolicy pudełek z częściami, puszek po oleju i części zamiennych, ściskają ręce jak najcenniejszy skarb świata. Dotykając nie skórą, a kruchą nadzieją na wspólny kawałek szczęścia, które obaj dali sobie zamiast świątecznego życzenia.

Dwoje ludzi po prostu stoi, nie mogąc rozdzielić ani rąk, ani dusz, ani swojego losu. A z kieszeni kurtki Stepana z zainteresowaniem mruga do nich oczętami kudłaty szary kotek.

Sława Sztorm – współczesny pisarz i poeta. Mieszkam we Wrocławiu i aktywnie wykorzystuję jego wspaniałe krajobrazy w swojej twórczości.

Kryzys Radosława Dąbrowskiego – czyli jak poprzez sztukę można pokazać kryzys egzystencjalny człowieka

Wywiad z autorem książki pt.: *Kryzys* – Radosławem Dąbrowskim jest przeprowadzony online. Mój rozmówca jest filmoznawcą i debiutującym pisarzem. Absolwentem dwóch kierunków magisterskich: filmoznawstwa i kultury mediów oraz mediów interaktywnych i widowisk na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Prowadzi zajęcia i wykłady z filmu m.in. w mediatece w Warszawie na Ursynowie.

Rozmawia Anna Michalik-Czarnecka

A.M.C. – Minęły niecałe dwa lata od czasu wydania książki. Jak odczuwasz ten okres – czy masz poczucie, że książka została dobrze odebrana przez Czytelników? Bo to nie jest łatwa książka.

R.D. – W generalnym spojrzeniu myślę, że tak: świadczą o tym recenzje, jak i pomniejsze komentarze. Przez półtora roku sporo się wydarzyło, ale też nie było tak, że po okresie premiery, gdy pojawia się najwięcej opinii i jest największe zainteresowanie, później stopniowo ta uwaga wokół nowego tytułu gaśnie. W przypadku tej książki poszczególne wywiady i recenzje ukazywały się sukcesywnie. Wiadomo, że co jakiś czas ukazuje się krytyczne spojrzenie, nie wszystko może się podobać. To jest zupełnie normalne. Dla mnie najważniejsza jest szczera opinia, ale żeby była też konstruktywna i uzasadniona. A ważne jest to, aby uczyć się na opiniach Czytelników.

A.M.C. – To nie jest łatwa książka – jak wspomniałam. Przeczytałam ostatnio parę opinii i wychodzi z nich, że ludzie nie potrafią jej zakwalifikować, umieścić w pewnym gatunku literackim. Do jakiego gatunku Ty chcesz zaliczyć swoją powieść?

R.D. – Po premierze zauważyłem, że w Empiku umieszczono ją (książkę) w dziale „Literatura piękna". (Śmiech). Ja zawsze używam takiego określenia, że jest to powieść egzystencjalna. Bo,

bez względu na to, czy zwrócimy uwagę na takie psychologiczne aspekty tej powieści, czy bardziej – ja nie lubię tych wszystkich określeń, że coś jest „znawcze" – kulturoznawcze bądź filmoznawcze, są to treści kojarzące się ze środowiskiem akademickim. Nie jest to powieść obyczajowa, pewnie nie, bo o obyczajach jest niewiele, ale można ją powiązać z pokoleniem powojennym. W książce za każdym razem wszystko sprowadza się do kwestii człowieka, do jego egzystencji.

A.M.C. – Skąd w ogóle pomysł na książkę? Jaka historia za nią stoi?

R.D. – Są dwa powody: pierwszym jest mój hołd złożony sztuce filmowej,

ale też literackiej. Po wielu latach czytania, oglądania, słuchania, myślę, że w człowieku rodzi się wiele refleksji do przekazania, a ja poprzez książkę chciałem odnieść się do wielkich twórców, w jakiś sposób wpisać się w ich światopogląd. Oczywiście pojawia się tu ogromna chęć rozwoju osobistego, artystycznego. A pisanie to umożliwia. Chciałem napisać o takich tematach, które mi osobiście właśnie są obce. I dlatego to prowadzi do rozwoju, ponieważ pisanie o tym, czego sam nie doświadczyłem, pozwala poznać nowe rzeczy. Czyli osadziłem akcję w latach 60., a bohaterami są ludzie, którzy doświadczyli wojny, i zmagają się z takimi problemami jak utrata rodziców, choroby psychofizyczne, praca dla cenzora czy niemoc artystyczna. Jest to zamierzchła już epoka i problemy, których osobiście nie doświadczyłem, ale próba zajęcia perspektywy tych bohaterów pozwoliła mi na zanotowanie progresu. A drugi powód: trafiłem kiedyś na fotografię pięknej dziewczyny i gdy wróciłem do domu, napisałem kilka zdań opisujących bohaterkę, pewną rolę dla niej (postać ta jest nawet widoczna na okładce książki – przyp. red.). Na początku to było w formie scenariusza filmowego. Postać ta miała być na tyle sugestywna, aby zapaść w pamięci widza. Ale taka, aby móc ją zagrać. Później doszedłem do wniosku, że scenariusz się nie uda, bo branża filmowa jest specyficzna. Stąd uznałem, że będzie to jednak powieść.

A.M.C. – Książka samym wstępem przypomina scenariusz. Mnie od razu przypomniały się filmy Ingmara Bergmana: tak jak on lubisz długie wstępy, przygotowujące Czytelnika do pewnej akcji, która zaistnieje, ale i tak trzeba zachować cierpliwość. A to może być męczące.

R.D. – Zdaję sobie sprawę, że ta ekspozycja jest bardzo rozbudowana, ale też ten wstęp mocno zapowiada formę powieści: jakie rozwiązania fabularne mogą się pojawić. Jest tu odejście od bardziej schematycznych rozwiązań – przygotowuje widza/czytelnika, że tak tutaj się będzie „działo". Samych odniesień do Bergmana jest tu sporo, choćby postać Anny, która w scenie w ruinach zadaje pytanie: „Czyżbym była drugą Karin?". A Karin to protagonistka grana przez Harriet Andersson z filmu *Jak w zwierciadle*. Na poziomie analityczno-interpretacyjnym chodzi oto, aby się zastanowić, z jakimi problemami mierzy się Anna, co jej dolega, na jaką chorobę cierpi. I tu jedną z dróg interpretacyjnych jest to, co spotkało postać z filmu Bergmana. Innym elementem są choćby szachy jako rekwizyt w wielu filmach. A ja zacząłem się zastanawiać, dlaczego szachy mają taką przewagę nad warcabami.

A.M.C.– Bo były zawsze.
R.D. – Tak, ale w filmach nie chodzi o figury, ale o atmosferę, która towarzyszy szachowej rozgrywce. Gdzie osoby siedzą naprzeciwko siebie, mają określony czas nas wykonanie ruchu. I stąd jest takie poczucie, że szachy to taka gra bardzo inteligentna, budująca napięcie i potrzebę rywalizacji. Pomyślałem więc sobie, że gdyby zastąpić szachy warcabami, to pozostanie tak samo.

A.M.C.– Gra w warcaby tworzy pewne spoiwo książki: otwiera ją i zamyka.
R.D. – Dlatego też w książce starałem się, aby istotną rolę grały pewne niuanse. Na przykład, gdy w pierwszej potyczce główny bohater (Andrzej – przyp.red.) wybiera z przekonaniem czarne piony i jest w ten sposób zasygnalizowane, że nigdy nie przegrał, że jest znakomitym graczem. A na samym końcu powieści, gdy spotyka się ze Śmiercią, wybiera piony białe.

A.M.C. – Na fabułę książki, na Autora, wpływ mają jakieś przeżycia. Czy zatem są to też twoje „kryzysy", czy tylko sytuacje, które podejrzałeś gdzieś na boku i wplotłeś w atmosferę tej powieści? Bo każda postać przeżywa jakiś kryzys.
R.D. – Na napisanie tej książki składa się jedno wielkie przeżycie: lata obcowania ze sztuką. Z moich osobistych doświadczeń w książce jest tylko jedna scena, ale też musiałem ją dostosować do pewnych form. I jest to wątek mocno poboczny. Wszystko, co jest w wiodącej linii fabuły, to są po prostu pewne problemy, które poznałem podczas wielu lat oglądania kina, czytania książek, i które są ważne. Ta książka to kumulacja moich refleksji na temat różnych wątków, które zaobserwowałem w sztuce. Z pewnymi rzeczami mogę korespondować, z pewnymi się zgadzać, wobec innych mogę mieć trochę krytyczny stosunek. Natomiast najważniejsze było dla mnie to, aby je wziąć na tapet i opisać. Dlatego mamy taką siatkę problemów różnych postaci, a historia składa się na wierny obraz społeczeństwa, który jest aktualny do dzisiaj. Problemy te nie uległy przedawnieniu: czy mamy temat schizofrenii, czy utraty rodzica, związany z cenzurą, biedą lub próbą samobójczą, czy temat traumy – przebodźcowania po różnych zdarzeniach, przeświadczenia o końcu świata – to wszystko jest aktualne do dzisiaj.

A.M.C. – Faktycznie, po wyszczególnieniu tych problemów, można książkę nazwać „egzystencjalną". Jest w niej kilka tajemnic: najbardziej mnie zafascynowała kobieta z obrazu. Kto to jest?
R.D. – Interpretacja czytelników nie jest jednoznaczna, co mnie cieszy. Najczęściej pojawia się sugestia, że jest to matka głównego bohatera. W tym mało

optymistycznym świecie jest to postać pozytywna, może być związana z jakimś „aniołem stróżem" Andrzeja. Można ją powiązać z pewną postacią, która się pojawia w książce czasami metafizycznie: widzi głównego bohatera, ale w drugą stronę już to nie działa. I tu jest taka scena, kiedy ona (kobieta z obrazu – przyp. red.) przychodzi do domu naznaczonego śmiercią i gra na fortepianie. Jest to zderzenie dwóch doświadczeń: śmierci i pewnego piękna, czyli tych treści pozytywnych. To jest symbol nadziei, gdy w najtrudniejszych momentach szukamy tego promyka, aby życie mogło się ułożyć na nowo, choć nie zawsze się udaje. To nawet spowodowało, że zastanawiałem się, czy jednego bohatera nie uśmiercić. I to się udało z głównym bohaterem, kiedy w sposób symboliczny próbuje targnąć się na swoje życie. Sam obraz kobiety jest dowodem, że powstają na tym świecie dzieła piękne, perfekcyjne, i dla głównego bohatera jest to przypomnieniem, że obcuje z czymś doskonałym, czego na co dzień mu brakuje.

A.M.C. – To ciekawe, co powiedziałeś. Może nawet zdradziliśmy fabułę książki? Mam nadzieję, że nie za bardzo. (Śmiech). Czy zastanawiałeś się, czy będzie kolejna część tej książki albo czy powstanie podobna do niej? Losy bohaterów są niedopowiedziane.

R.D. – Generalnie nie. Ale jeśli miałbym coś napisać, to przedstawiłbym to z perspektywy Anny, żeby to było inne spojrzenie. Gdzie Anna ma też swoją historię, rozgrywającą się poza miasteczkiem, w którym toczy się akcja omawianej opowieści. Fabuła *Kryzysu* jest z jednej strony otwarta, ale dla mnie, jako autora, jest definitywnie zamknięta. Szukałbym czegoś innego. Są tu jednak takie momenty, takie sceny, z którymi trudno byłoby się rozstać. I myślę, że z powodzeniem sprawdziłaby się w scenariuszu filmowym.

A.M.C. – Życzę Ci tego.

Radosław Dąbrowski – pisarz, filmoznawca, wykładowca, absolwent dwóch kierunków mgr na UAM w Poznaniu. Autor powieści *Kryzys*. Urodzony w Koszalinie, mieszka w Warszawie.

Od nowa

Kornelia Krawiec

– Kate, ścisz to! – krzyczę tak głośno, żeby usłyszała moja młodsza siostra zamknięta w swoim pokoju na piętrze. To chyba nie działa, bo po piętnastu minutach dalej słyszę zapętloną składankę „Tegorocznych Świątecznych Hitów".

– Kaitlyn!!! – drę się na cały dom, zaraz potem kaszlę i pocieram szyję. Czekam jeszcze kilka minut, ale mam wrażenie, że jest nawet głośniej, niż było chwilę temu. Schodzę ospale z kanapy, idę po schodach prosto do jej pokoju.

– *...gdy zostawiłeś mnie w tym roku, świąteczne marzenia rozpełzły się w mroku, ooo oo, magiczny czas ogarnął nas, więc powiedz proszę, czego było ci brak? Ooo oo! Magiczny czas...*

– Co to jest? – pytam zirytowana, podchodzę do radia i je wyłączam.

– Piosenka, głucha jesteś?– Kate siedzi na krześle, nie patrzy na mnie. – Włącz to z powrotem i wyjdź.

– Szajs, nie piosenka – mówię, schylając się do gniazdka. – Sama nie umiałaś ściszyć, to myślałam, że ci pomogę.

– Miło... – Wstaje, podchodzi do mnie i uśmiecha się złośliwie, wyrywa mi z rąk kabel i wtyka z powrotem, włącza radio.

– Uspokój się, Kaitlyn! – Przewracam oczami i ściszam muzykę. – Gdyby mama...

– Co? – przerywa mi ostro. – Matki nie ma. Przynajmniej ja jej nigdzie nie widzę, a ty?

Uderzam z całej siły pięścią o blat biurka. Nie spodziewałam się, że aż tak zaboli, Kate odsuwa się ode mnie, jakby bojąc się, że teraz ona dostanie. „I dobrze, myślę, potrzebuję trochę spokoju".

– A ja, co? To niby moja wina?! – Podnoszę głos.

Jest cicho, zaczynam się denerwować. Spoglądam odruchowo na Kate i nie umiem odczytać wyrazu jej twarzy.

– Nie… – mówi chłodno. – Ale nie próbuj na siłę jej zastąpić, Meg. Odpuść sobie.

Bardzo chcę jej odpowiedzieć, bardzo, powstrzymuję się tylko dlatego, żeby nie powiedzieć za dużo. Zamiast tego szybko wychodzę z pokoju, trzaskam drzwiami i przez chwilę opieram się o nie, próbując choć trochę opanować nerwy. Gdy uderzają we mnie pierwsze słowa piosenki, odrywam się momentalnie i pędzę na dół, do salonu, na kanapę, pod stertę koców i staram się powstrzymać łzy. Po co? – przechodzi mi przez myśl i przestaję się starać, płaczę, jest mi gorąco i cała się pocę, ale odkrywam się dopiero, gdy trudno jest mi oddychać. Podciągam nogi i opieram się o zagłówek, szukam pilota od telewizora, a gdy go w końcu znajduję, nie mam już ochoty, żeby cokolwiek oglądać. Ale mimo to naciskam guzik i przeskakuję wszystkie programy.

– *Zrób to z nami: świąteczne ozdoby… Kevin sam w domu…* oczywiście – mamroczę pod nosem. – *Wielkie oczy… Wielkie oczy 2… Kopciuszek… Wielkie oczy 3… Kevin sam w Nowym Jorku,* klasyk… *Wielkie oczy 4…* rany…!

Wzdycham, wyłączam telewizor i odrzucam na bok pilota. W salonie jest ciemno, oczy mnie pieką od ekranu. Zsuwam się niżej na kanapie i przez nawet nie wiem jak długo leżę i patrzę się w sufit. Po jakimś czasie przekręcam się na bok i dalej leżę. Nie wiem nawet, kiedy zasypiam, ale gdy się budzę, na początku oślepia mnie światło i słyszę niewyraźnie Kate, gdzieś daleko. Podnoszę się ociężale, kręci mi się w głowie, w ustach czuję mdły smak, zamykam oczy. Niedobrze mi. Gdy je otwieram, Kaitlyn stoi przede mną.

– Co ty wyprawiasz? – pyta.

– Nic – mamroczę, patrzę na nią, ale ona unika mojego wzroku, dopiero po chwili widzę jej zaczerwienione i opuchnięte oczy.

Nie odzywamy się do siebie, ale czuję, że zaraz sobie pójdzie, zamknie się w pokoju, a ja nie chcę być sama. Przesuwam koce, robiąc miejsce obok siebie. Kate stoi jeszcze przez chwilę, ale w końcu wspina się na kanapę i siada obok. Patrzę, jak bierze pilota do ręki i robi to samo co ja parę godzin temu. Tylko nie czyta na głos nazw programów, dlatego ciszę co chwilę przerywa tylko krótkie klikanie.

– Ooo – mówi nagle – *Wielkie oczy zza choinki!*

– Która to część? – pytam zmieszana.

– Dodatek świąteczny – odpowiada wpatrzona w ekran – Pamiętasz? Kiedyś to oglądałyśmy razem...

Arażny
KOREKTA

Małgorzata Arażny

redakcja | korekta | skład książek i e-booków

araznykorekta@gmail.com

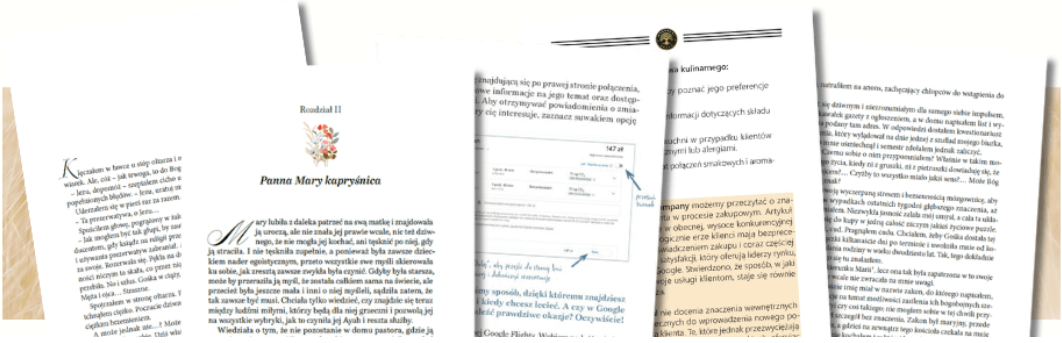
Rozdział II

Panna Mary kapryśnica

Kiwam głową. Uśmiecham się, czuję, że jest lepiej, chociaż trochę. Siedzimy, oglądamy, przez chwilę jest normalnie, dobrze. Pod koniec filmu przeciągam się i rozprostowuję nogi.

– Idę do kuchni, chcesz coś? – Wstaję z kanapy, ale zanim zdążę się odwrócić, Kate przyciąga mnie do siebie i przytula, mocno. Stoję zdezorientowana, normalnie się tak nie zachowuje, nie przytulała mnie… od przedszkola? Chyba tak. W końcu odsuwa się, widać, że jest skrępowana, a ja nie wiem, jak jej pomóc.

– Może kakao? – pytam. Kaitlyn przytakuje i uśmiecha się lekko, ale dalej na mnie nie patrzy.

Idąc do kuchni, mimowolnie zastanawiam się, jak bardzo nasza relacja się zmieniła, odkąd byłyśmy małe, jak się od siebie oddaliłyśmy. Wracam do salonu z dwoma kubkami i pudełkiem pod pachą.

– Dzięki – mówi Kate, biorąc kakao – Co tam masz?

Upijam łyk, żeby nie rozlać i siadam obok niej.

– Lukrowane pierniki z orzechami, rodzynkami… – czytam napis na pojemniku. – Chyba że wolisz coś innego? Barszcz? Pierogi?

– Są jeszcze? – Kate na chwilę odrywa się od kubka.

– Z tego co widziałam, mamy trzy słoiki barszczu, a pierogów też całkiem sporo. – Po namyśle dodaję: – Pierwsza gwiazdka już się chyba pojawiła… dość dawno… Mogłybyśmy sobie zrobić jakąś małą wieczerzę, co? Przynieść trochę?

Kate przez chwilę milczy, ale w końcu kręci głową.

– Nie trzeba – mówi. – Porobimy coś jeszcze?

– Co? – pytam, może trochę zbyt chłodno, ale jest mi przykro i nie umiem tego ukryć.

Kaitlyn wychyla się i wyciąga z półki pod stołem kilka gier planszowych. Potrząsa nimi i kładzie przede mną.

– Może to? – Obraca je tak, żebyśmy obie widziały tytuły. – *Farma*, *Monopoly*, *Książkowy zawrót głowy*…

– A ta jest o czym? – Biorę od niej ostatnią planszówkę i zaczynam czytać opis: – *Idealna gra dla moli książkowych, wykaż się swoją*

książkową wiedzą i zdobywaj punkty... To coś jak *Milionerzy*, tylko o książkach?

– Chyba tak... – Kate wzdycha, widzę, że nie jest zainteresowana.

Odkładam wszystkie gry na bok i kładę się z powrotem na kanapę. Chwilę później czuję jak ugina się pode mną i kątem oka widzę oddalającą się Kaitlyn, idzie na górę po schodach, do swojego pokoju, zamyka drzwi. Ja zamykam oczy. Chyba zaczynałam zasypiać, bo wzdrygam się, słysząc ponownie kroki na schodach. Kate przechodzi przez salon, niosąc swoje małe radyjko, kuca przy gniazdku i przez chwilę się waha.

– Nie będzie ci przeszkadzać?

– Nie. – Mam zachrypnięty głos.

Podłącza je do prądu i naciska przycisk. Gdy słychać już muzykę, wstaje z podłogi i kładzie się na kanapie obok mnie, stykamy się ramionami.

– *...noc objęła nas przyjaźnie, oo la la la oo laa laa igiełki drgnęły niewyraźnie, oo laa laa tylko z tobą chcę być, tylko z tobą chcę żyć, oo la la la...o la la la*...

– Szajs – mówię cicho. Odwracam się do Kate i patrzę na nią wyczekująco. Bardzo długo się nie odzywa. Wysłuchałyśmy już całej składanki, a ja dalej czekam.

– Jest Wigilia, Meg, nie chcę być sama.

Wstaję z kanapy.

– Ja też – mówię – Od nowa?

Kate uśmiecha się.

– Od nowa.

Podchodzę do radia i puszczam nagranie jeszcze raz. Od nowa.

Uczę się w I Liceum Ogólnokształcącym w Dzierżoniowie, na profilu humanistycznym. Oprócz pisania pasjonuje mnie literatura XIX-wieczna i impresjonizm, szczególnie prace Edgara Degasa.

Recenzja powieści *Niewyczerpany żart* Dawida Forstera Wallace'a

Witold Wyrwa

David Forster Wallace – pisarz, któremu jeszcze za życia udało się osiągnąć za oceanem sławę, a nawet status legendy, dzięki swej najbardziej rozpoznawalnej powieści. Zanim przejdę do recenzji *Niewyczerpanego żartu,* na samym początku chciałbym pochwalić sam sposób wydania, który jest swoistą innowacją na rynku książki. Omawiany utwór ma prawie 1200 stron, zaś jego waga jest na tyle znacząca, iż podczas czytania można nabawić się zespołu cieśni nadgarstka. Także wnętrze tego woluminu jest nietuzinkowe, mikre jak mak literki rodem z wydań kieszonkowych, niechybnie wyćwiczą nas w spostrzegawczości. Osobiście dzięki lekturze tej książki potrafię odróżnić wróbla od mazurka z odległości nawet trzech kilometrów, co wcześniej przychodziło mi z niemałym trudem. Jeśli jednak czytelnik(-niczka) jest wątłej postury, ma chory kręgosłup i w dodatku ma problemy ze wzrokiem, wówczas przed rozpoczęciem lektury rekomenduję zakup ramienia hydraulicznego oraz porządnej lupy.

Wieść o pojawieniu się *Niewyczerpanego żartu* docierała do mnie różnymi drogami. Znani krytycy oraz uznani autorzy z niekrytym zachwytem obwieszczali pojawienie się owego świętego Graala światowej literatury w rodzimym języku. We mnie tego typu peany, które bezapelacyjnie wynoszą jakiegoś autora na poziom parnasu, budzą odruchowy wręcz sprzeciw. Taka narracja przekazuje między wierszami pewną zero-jedynkową manipulację. Albowiem są twórcy, którzy zostają wyniesieni na piedestał przez wąską grupę intelektualistów na tyle sprawnie wychwalających swego idola, aż zaczyna go obrastać nierozwiewana aura geniuszu. Żaden inteligent przy zdrowych zmysłach nie odważy się rzec złego słowa o takim twórcy, gdyż oznacza to środowiskowe seppuku.

Na szczęście ja, jako banita z wyboru, nie muszę obawiać się ekskomuniki oburzonej śmietanki intelektualnej. Niestety wcale nie ułatwia mi to zadania, ponieważ każdy taki twórca oprócz ugruntowanej pozycji ma również ta-

lent. Być może ów antrakt sprawia wrażenie, jakobym drwił z samego autora. Bynajmniej nie mam zamiaru oceniać pisarza, co najwyżej jego dzieło, a już z pewnością nie mam zamiaru z niego drwić; jeśli nieco ironizuję, to z powodu rzeszy fanatycznych wyznawców, którzy z zaciekłością bulteriera będą mieszać z błotem każdego, kto spróbuje podważyć pozycję ich guru. W Stanach Zjednoczonych w latach dziewięćdziesiątych zapanowała swego czasu istna moda na Davida Fostera Wallace'a, na moje szczęście przywędrowała ona do Polski dosyć późno i mam nadzieję, nie zdążyła się jeszcze porządnie zadomowić. Niemniej nie da się ukryć, że DFW to również postać nietuzinkowa. To finalista Pulitzera, wykładowca akademicki, nazwany przez „Los Angeles Times" „jednym z najbardziej wpływowych i przełomowych pisarzy ostatnich dwudziestu lat".

Problem recenzji takich powieści jak *Niewyczerpany żart* polega na tym, że są to pozycje nieco ekscentryczne. Ich twórcy, bardziej niż słów krytyki, boją się sztampowości i z cyrkową sprawnością wymykają się standardowym kryteriom. Podobnie jest w przypadku DFW, który jest pisarzem nad wyraz sprawnym, by nie powiedzieć wybitnym. Jego styl momentami potrafi wywrzeć bardzo mocne wrażenie. Erudycja oraz znajomość różnych, często bardzo odległych dziedzin imponują. Czytając tę książkę, miałem wrażenie, że została napisana przez osobę obdarzoną ponadprzeciętną inteligencją.

Być może brzmi to zachęcająco, jednak proszę sobie zadać pytanie, z jakich względów czytają Państwo literaturę?

Nie twierdzę, że erudycja nie jest ważna w powieści, jednak osobiście nie jestem zwolennikiem literackiej ekwilibrystyki, a z takową mamy tu do czynienia. Wallace'owi należy oddać sprawne pióro, umiejętność wykreowania niecodziennych scen, stworzenia klimatu oraz (zbyt) szczegółowych opisów. Niemniej jako całość *Niewyczerpany żart* jest według mnie co najmniej ciężkostrawny. Davida Fostera Wallace'a porównałbym do cyrkowego akrobaty, który robi salta. Gdy widzimy pierwsze – jesteśmy zdumieni, gdy widzimy drugie – klaszczemy, gdy artysta robi trzy salta pod rząd – wiwatujemy na stojąco, jednak z każdym kolejnym pokazem cyrkowej sprawności nasza euforia maleje, aż do momentu, gdy coś, co jeszcze przed chwilą wprawiło nas w zachwyt, powoli staje się nieco irytujące, nużące i życzylibyśmy sobie rychłego końca.

Dzieło DFW to arcyrozległy kombinat onirycznych scen. Praktycznie każdy rozdział zarysowuje innego bohatera i inny świat, po czym bez żadnego przejścia, spójnika, czy wspólnego mianownika autor kreśli kolejnego bohatera i kolejną rzeczywistość, zaś związek między nimi jest czysto umowny. Te

postaci wracają w kolejnych rozdziałach oddalonych od siebie gęstą ścianą tekstu, by w następnych odsłonach być równie zagmatwanymi i dalekimi. DFW nie tworzy klasycznej fabuły, *Niewyczerpany żart* to raczej psychodeliczny trans. To abstrakcyjne wizje, które mogą mieć ze sobą związek, lecz niekoniecznie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście go mają. To chaotycznie wyrzucane fantasmagorie, które fragmentarycznie są ciekawe, jednak jako całość przyprawiają o zawrót głowy. Lektura najważniejszej powieści DFW w moim odczuciu dosyć szybko staje się aktem męczącym, a nawet frustrującym, bowiem Wallace rzeczywiście potrafi wykreować niebanalne przestrzenie, postaci i dialogi. Cóż z tego, jeśli nic z nich nie wynika? Na ten przykład, autor w swym niekwestionowanym kunszcie potrafi na kilka stron opisać system wentylacyjny budynków uniwersyteckich i czyni to, tylko po to, by powiedzieć czytelnikowi, iż jego bohater wykorzystuje tę infrastrukturę do palenia skrętów.

Nie mam wątpliwości, iż Wallace jest pisarzem o tak wysokiej kreatywności i zasobie słów, że byłby w stanie opisać ziarnko piasku na białej kartce na kilkudziesięciu stronach. To z jednej strony godne podziwu, z drugiej ponownie zadaję retoryczne pytanie: cóż z tego? Czy profesjonalny pisarz ma za zadanie udowodnić czytelnikowi swą wyższość i nieskończoną kreatywność, tworząc bezkresne opisy okraszone wysublimowanym słownictwem, które, mimo iż poświadczają jego wybitny intelekt, napawają czytelnika znużeniem, czy raczej dobry pisarz to taki, który swą wielkość potrafi skryć za przystępną i emocjonującą historią?

Niewyczerpany żart nie jest powieścią, która przerasta swą treścią przeciętnego odbiorcę. Nie jest to traktat filozoficzny, nad którym gremium uniwersyteckie debatowałoby długie godziny. Jest to pozycja, której kluczową cechą jest ekscentryzm. I jakkolwiek bez wahania przyznaję, że takiej powieści jeszcze nie było, to jednocześnie nie jestem skłonny przystać do grona osób sławiących jej ponadczasową wyjątkowość. Bohaterowie *Niewyczerpanego żartu* niesamowicie szybko stają się obcy, nie sposób wgryźć się w ich uczucia, nie podobna podążać za tą somnambuliczną projekcją z minimalnym zaangażowaniem. DFW serwuje owe historie niczym automat do wyrzucania piłek tenisowych. To chaos, który męczy. To brawura, która nudzi. To literacka akrobatyka, od której kręci się w głowie. Ponadto takowa forma powoduje, że nie można nawet stwierdzić, czy ta historia ma jakiekolwiek przesłanie, a jeśli tak, to jakie? Powieść tak nielinearna, tak abstrakcyjna i tak rozległa tworzy zasadniczo nieograniczone możliwości interpretacji. *Niewyczerpany żart* może mieć jedyną poprawną eksplikację, jak również tysiąc.

Na koniec pozwolę sobie przytoczyć analogię ze świata kinematografii. W filmie *Geniusz*, który również jest o pisarzu, oglądamy scenę, gdy grany przez Jude'a Lowa Thomas Wolfe przynosi plik niepoliczalnych kartek, kładzie je na biurku wydawcy, który patrzy na niego z mieszanką irytacji, strachu i zaciekawienia, by w następnej scenie zabrać się za lekturę, bezlitośnie kreśląc czerwoną kredką nadmierne akapity. I tego właśnie zabrakło tej książce, by ktoś oszlifował geniusz Wallace'a. Książka ma potencjał, autor ma talent, jednak przede wszystkim w ową cyrkową akrobatykę w literackim wydaniu ciężko się wgryźć, nie sposób podążać za dziesiątkami abstrakcyjnych fantasmagorii, nie podobna się zżyć ze znikającymi bohaterami, aż w końcu dość trudno jest odnaleźć sens w samej lekturze. Cóż z tego, że autor ma zasób słów bogatszy niż niejeden słownik, cóż z tego, że udaje mu się od czasu do czasu zarysować ciekawy obraz, skoro po każdym kolejnym „salcie" jesteśmy bardziej zirytowani niż zachwyceni.

Pytanie, które finalnie sobie zadałem, to czy DFW pisze dla siebie, czy dla czytelnika. Uważam, że w tym względzie powinna zachodzić pewna synergia. Ja owej symbiozy z *Niewyczerpanym żartem* nie uświadczyłem. Nie oznacza to oczywiście, że inni odbiorcy takowej relacji nie mogą uświadczyć. Komu zatem polecam tę pozycję? Osobom, które lubią powieści nieszablonowe, historie osnute oniryczną mgłą, miłośnikom awangardy i postmodernizmu. Językowym fetyszystom, których bardziej niż wartka akcja ekscytuje styl autora, a także wielbicielom literackich szarad, którzy z wypiekami na policzkach udadzą się na poszukiwania nici semantycznych powiązań i ukrytych znaczeń.

Witold Wyrwa – absolwent instytutu Lingwistyki Stosowanej UAM. Jego pasją przez 10 lat była fotografia, a w szczególności ambrotypia. Na koncie ma dwie wystawy indywidualne oraz wiele grupowych. Publikował zdjęcia na łamach magazynu „Coaching", w zbiorowym albumie fotograficznym *Sensual photography #3*, oraz na portalu informacyjnym TVN24. Od 8 lat zajmuje się pisarstwem. Jest autorem dwóch scenariuszy filmowych (*Życie z każdym oddechem*, *Depresja wariata*). Zadebiutował powieścią psychologiczną *Między prawdą, a grzechem*

Szczęśliwa emerytura 2040

Robert Drobysz

Nareszcie nadszedł dzień przejścia na emeryturę. Po kilkudziesięciu latach ciężkiej pracy jestem wolny. Przestałem być więźniem budzika. Cóż z tego, że świat zamieszkuje osiem miliardów ludzi, skoro w mojej klitce jestem sam.

Nagle – dzwonek do drzwi. Otwieram i widzę dwóch, znanych skądinąd aktorów. Nim zdołałem coś z siebie wykrztusić, niższy rzekł:

– Jesteśmy przedstawicielami funduszu emerytalnego „Najszczęśliwsza przyszłość". Stan pańskiego konta po pięćdziesięciu latach systematycznego oszczędzania pozwala na godne przeżycie starości. Nie musi pan na niej udawać życia. Złota jesień roztoczy swoje uroki. Na początek sklonowaliśmy pańską zmarłą żonę.

– Ale ja nie chciałem! – wykrzyknąłem z przerażeniem w głosie.

– A ona i owszem – powiedział wyższy.

Kilku rosłych tragarzy wniosło moją małżonkę i podłączyło ją do internetowego kanału „Romanse".

– Nie mogę się jej pozbyć? – spytałem z nadzieją w głosie. Stan spoczynku rysował się w czarnych barwach.

– To niemożliwe. Przepisy. Ale jest inna możliwość. Nie można się jej pozbyć, ale może pan polecieć.

– Gdzie?

– Na Marsa. Do luksusowej kolonii. Opuści pan zatrutą i przeludnioną Ziemię. W zamian za lata pracy czeka na pana osiedle wolnostojących ekologicznych kopuł mieszkalnych. Wokół nie fototapeta, ale ciągnące się kilometrami zielone pola i urokliwe jeziorka. I tylko sto tysięcy osadników. Szanowna małżonka pójdzie do recyklingu. Po roku pobytu przysługiwać panu będzie nowa towarzyszka życia. Jej wiek jest do ustalenia. – I puścił do mnie oko.

– Dlaczego tak mało ludzi tam mieszka? Jeśli są to, tak atrakcyjne warunki, to przecież każdy by się tam przeniósłby – spytałem nękany wątpliwościami.

– I tak zrobi – powiedział niższy. – Na pewno. Tylko musi sobie na to zapracować. Nasz rząd przeznaczył tę planetę dla ludzi pracy, latami budujących prawdziwy kapitalizm.

– No, cóż. Właściwie nie mam wyjścia, zgadzam się.

– Wobec tego proszę się pakować. Rano przyślemy robota po bagaże, odlot po południu o piętnastej zero-zero. O szóstej pięćdziesiąt pięć rozpocznie pan nowe życie.

– Dlaczego akurat o tej porze? – spytałem zdziwiony.

– To niespodzianka.

***

Na marsjańskim kosmodromie wyjaśniono mi, że za podróż w luku bagażowym będę musiał dopłacić pięćset tysięcy kredytów. Oszczędności życia wystarczyły na pokonanie przyciągania ziemskiego. Przedstawiciele władz skłonni byli jednak zawrzeć ugodę. Wyraziłem zgodę, bo nie miałem innego wyjścia.

Załamany stałem przy szybie i patrzyłem na czerwoną pustynię. Nigdzie nie było widać zielonych lasów i szemrzących strumyków. Nagle ktoś klepnął mnie w ramię.

– Ruszaj się, stary. Szychtę zaczynasz za pięć minut. O siódmej zero-zero. Tu masz szuflę. Zostaw te klamoty i łap się za szpadel, trzeba fedrować, żeby na miskę ryżu zapracować – zażartował ponuro. Po robocie będziesz przez dziesięć lat zmywał naczynia w stołówce, to odrobisz dług. Oczywiście po pracy.

– Nic nie rozumiem – odparłem zdziwiony i popatrzyłem na stojącego przy mnie staruszka.

– Z nowymi to tak zawsze. A kto ma wydobywać surowce dla Ziemi? Nikt tu dobrowolnie nie przyleci. Wszędzie piach, tlen na talony i marne żarcie. Wysyłają więc nas.

– Zrobili mnie w konia! To gorsze niż ten fantastyczny film z Arnoldem Schwarzeneggerem!

– Nie jest aż tak źle. Pracujesz tylko czternaście godzin na dobę, a później to wolne i wolne. Przysłali tu niedawno fajne pielęgniarki. Podobno mają też zesłać nauczycielki, które niedawno strajkowały. Przyzwyczaisz się.

– A ja się zastanawiałem, jak rząd rozwiąże problemy służby zdrowia, pedagogów i górników. Teraz już wiem – powiedziałem, z rezygnacją zarzuciłem łopatę na ramię i poszedłem z towarzyszem niedoli ku widocznym z daleka kopalnianym szybom.

Robert Drobysz (1968) – poeta, prozaik, satyryk, fraszkopisarz, dziennikarz, fotografik. Od urodzenia mieszka w Nowym Sączu. Opublikował siedem książek. Laureat ogólnopolskich konkursów prozatorskich i poetyckich. Drukował w licznych ogólnopolskich antologiach i almanachach. Tłumaczony na języki: słowacki, łemkowski, ukraiński i włoski.

Pierwsza powieść. Jak pisać, aby napisać?

Katarzyna Mróz-Jaskuła

Moje palce suną po klawiaturze jak sanki po świeżym, białym puchu. Każde słowo wskakuje na swoje miejsce i nabiera niezwykłego znaczenia. Piszę konkretnie, metaforą, zwięźle i opisowo. Akcja powieści toczy się żwawo, a wyrazy tańczą szalonego walca.

Chciałabym, aby ta pisarska wizja była realna. Niestety, jedynie „bywa" prawdziwa. Zdarzają mi się chwile, gdy rzeczywiście każde słowo trafia tam, gdzie powinno, a pisanie nie jest „ciężkim Norwidem", a staje się przyjemnością. Momenty przyjemnego, pisarskiego *flow* zdarzają mi się jednak rzadko i są przeplatane stanami bezradności i bylejakości twórczej.

Jak sobie z nimi radzę? Czytuję poradniki pisarskie. Uważam, że skoro praktyk postanawia dać nam wskazówki, jak pisać, należy z nich skorzystać.

„[…] dobra opowieść powinna oferować czytelnikowi transformację – a więc okazję do poznania czegoś nowego, do wyciągnięcia jakiejś życiowej nauki, albo przynajmniej do poszerzenia horyzontów" – napisał Tomasz Węcki w *Jak napisać powieść?* (Wydawnictwo Spisek Pisarzy, 2019).

Nie możemy więc oferować czytelnikowi zwyczajnej rozrywki, to by było zbyt proste. Trzeba wskazać mu ścieżkę przemiany, nauczyć czegoś. Jak w greckim teatrze, bez katharsis nie będzie dobrego spektaklu.

Decyduję się na sposób narracji (trzecioosobowy) i czas przeszły. Nie przepadam za czytaniem opisów w czasie teraźniejszym, nie ufam takiej narracji.

Kolejna sprawa: jak sprawić, aby bohater był prawdziwy, a nie papiero-

wy? I tu z pomocą przychodzi Tomasz Węcki: „[…] lepiej zacząć od stworzenia sieci postaci, czyli określenia ich ról i relacji". Trzeba zatem wprowadzić antagonistę, zły charakter, który namiesza nieco w życiu głównego bohatera. Porada, która wydaje mi się ważna, to pokazywanie akcji w dialogach, nie w opisach. Daje to dynamiczną akcję, nie przytłacza czytelnika zbyt długimi opisami (chyba że naszym celem jest napisanie drugiego *Nad Niemnem*).

A struktura? Powieść to nie rozprawka, żeby mieć wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Jak wyznaczyć jednak szkielet historii? I zamienić historię w akcję? Zaczynamy od haczyka, od uwiedzenia czytelnika i sprawienia, aby książka stała się „nieodkładalna". „Każda opowieść posiada strukturę. Każda, bez wyjątku. […] Bez dłużyzn, bez zbędnego pośpiechu, bez sztucznych momentów i bez niewyjaśnionych zwrotów akcji. Za to […] z napięciem rosnącym we właściwym tempie".

Po lekturze poradnika Węckiego nadal słowa nie przychodzą do mnie zbyt łatwo. Przedzierają się przez moje życie powoli i niechętnie, zupełnie jak wiersze z Miłoszowskiego poematu. A przecież wiem, o czym będzie moja powieść. Znam swoje bohaterki, wybrałam sposób narracji. Dokładnie obejrzałam miejsca, w których ma się toczyć akcja. Nauczyłam się teorii, wiem, jak poukładać kafelki mojej historii, aby dobrze się ją czytało.

Nie pozostaje mi nic innego, jak usiąść i pisać. Czego i Tobie, Czytelniku, życzę!

Korzystałam z następujących książek:

T. Węcki, *Jak napisać powieść. Najlepszy poradnik dla pisarzy doświadczonych i początkujących*, 2019.

J. Wrycza-Bekier, *Magia słów. Jak pisać teksty, które porwą tłumy*, 2014.

S. King, *Jak pisać. Poradnik rzemieślnika*, 2021.

Katarzyna Mróz-Jaskuła – od wielu lat związana z branżą wydawniczą. Od dwóch lat prowadzi własne studio graficzne Wielogłoska. Zajmuje się projektowaniem, składem, korektą i przygotowaniem do druku książek. Współpracuje zarówno z wydawnictwami, jak i z self-publisherami. Prywatnie szczęśliwa żona i mama Olgi oraz Wiktora. Miłośniczka książek, kawy, jazdy na rowerze i fotografii. Pochodzi z Chełma, mieszka w Krakowie.

Kartka z pamiętnika pisarza

Kamil Sobik

Przyznaję, że napisanie artykułu do „Daję Słowo" jest moją pierwszą okazją na zaistnienie w prasie, więc jeśli popełniłem jakieś faux-pas dziennikarskie, to darujcie mi ze względu na brak takowego doświadczenia. Temat ten jest tak rozległy, że miałem zamiar umieścić tutaj wszystko, co przyjdzie mi do głowy, począwszy od trudności, na jakie napotkałem w pracy pisarza, a skończywszy na polityce i tym, co się wokół dzieje. Jednak postaram się być jak najbardziej zwięzły.

Z racji tematyki, to najpierw chciałbym się skupić na mojej skromnej osobie, bo w minionym roku wiele się wydarzyło i to zarówno po stronie pisarskiej, jak i prywatnej, ale oczywiście tutaj skupię się na tej pierwszej.

Mimo że na swoim koncie mam już trzy powieści (które możecie zakupić między innymi na stronie samowydawcy.pl), to nadal uważam się za początkującego pisarza i w dalszym ciągu pracuję na etacie.

W poprzednim roku walka była na kilku frontach i to nie tylko z powieściami, ale przede wszystkim z prozą życia. W minionym roku głównie promowałem powieść *W drodze do wolności* i nie ukrywam, że starałem się o spotkania autorskie w bibliotekach, więc praktycznie mój telefon nie rozstawał się z moim uchem. Dodatkowo planowałem pójść w szeroką dystrybucję, a więc również trafić z powieściami do księgarni stacjonarnych. Prowadziłem też walkę z brakiem zamówień na mojej stronie, bo chciałem, żeby w końcu zaczęły się pojawiać.

Mogę przyznać wprost, że na każdym z tych trzech pól… dałem plamy. Co prawda zorganizowałem nie tak małą liczbę spotkań autorskich, ale głęboko liczyłem, że przełożą się na większą rozpoznawalność, co finalnie się nie udało. Zamówień w moim sklepie było i jest jak na lekarstwo, dystrybutorzy odmówili współpracy ze mną, a praca na etacie wkurzała mnie na tyle, że nawet na proste pytania, jakie otrzymałem od współpracownika, potrafiłem kląć na cały głos przez dobre pół godziny jak nie więcej.

To wszystko powodowało, że były dni, kiedy siedziałem na sofie i tępo patrzyłem w jeden punkt przez kilka godzin. Depresja? Na pewno wypalenie zawodowe, o którym wspomniałem powyżej, ale nie ukrywam, że chyba ocierałem się o tę chorobę. Nie miałem jakiejkolwiek motywacji do walki

o siebie, o swoją przyszłość, a przede wszystkim o marzenia, które wciąż są istotną częścią mnie.

Co pomogło?

W moim przypadku była to pomoc pani psycholog, która pomogła mi uświadomić sobie, że patrzyłem od złej strony na swoją twórczość i działalność. Dodała, że przy takim podejściu nawet jak będę ociekał w zamówienia, to i tak nie będą mnie cieszyły, bo wciąż będę dostrzegał to, czego nie mam i to nawet jeśli kiedyś zostanę autorem bestsellerów. Początkowo nie rozumiałem, o co chodzi, ale zgodnie z jej poradą zmieniłem podejście.

Zamiast mówić zdanie typu: „Tylko jedno zamówienie na stronie", mówiłem sobie: „To wciąż o jedno zamówienie więcej od osoby, która nie ma żadnego".

Zamiast mówić zdanie typu: „Tylko jedna biblioteka w miesiącu chciała ze mną zrobić spotkanie autorskie", mówiłem sobie: „To wciąż o jedno spotkanie więcej od osoby, która nie przeprowadziła żadnego". Jeszcze wrócę do tej kwestii, bo to dla mnie istotny temat.

Zamiast mówić zdanie typu: „Znowu siadam do tej burackiej pracy", mówiłem sobie: „Potem w nagrodę czeka mnie praca nad swoją twórczością".

Zmieniłem podejście do tego, co robię, które teraz głównie polega na cieszeniu się z tego, co jest, a nie wyczekiwaniu na to, co będzie. Oczywiście powolnymi kroczkami również i to przyjdzie, ale na ten moment cieszę się, że mogę napisać ten artykuł i przedstawić wam część mojego życia pisarskiego i perypetie, z jakimi się mierzę.

Mam wielkie trudności z przekonaniem siebie, że etat jest tylko czasowy, a w końcu będzie na tyle dobrze, że będę prowadził wyłącznie działalność pisarską i obracał się wokół niej. Wiem, że to przyjdzie prędzej czy później, ale w tej chwili zniechęca mnie działalność pisarska właśnie przez etat. Długo się zastanawiałem, co mogło być tego przyczyną, aż w końcu doszedłem do jednego wniosku.

Chcesz wydać własną książkę,
ale czujesz, że to czarna magia?

STUDIO ALE BUK!

pomoże Ci z:
- z redakcją
- z korektą
- ze składem
- z okładką
- z ebookiem

Napisz do mnie na Instagramie: @magik.od.skladu.ksiazek
Z kodem **DAJESLOWO5** rabat 5%

Mam wypalenie zawodowe.

Co pomogło mi w uświadomieniu sobie problemu? Post Moniki Litwinow na Facebooku, która wprost opisała, z czym się mierzyła w trakcie pracy etatowej i miałem takie poczucie: cholera, ona pisała o mnie. Każdy, choćby najmniejszy krok w pracy wywoływał we mnie frustrację, już samo naciśnięcie włącznika od laptopa powodowało zgryz emocjonalny, wkurzenie i poczucie się jak „gówno", a im dalej w obowiązki zawodowe, tym bardziej wchodziła we mnie irytacja podsycona wręcz z nienawiścią do wszystkiego, co było związane właśnie z pracą. Momentami wręcz wystarczył tylko jeden mail, gdzie ktoś zadał proste pytanie, a potrafiłem wydrzeć się na niewinny laptop, mając nadzieję, że moje zdenerwowanie dojdzie do nadawcy tej wiadomości.

Nadal tam pracuję, bo jednak nie jestem w stanie na ten moment się utrzymać z samej pracy pisarza, ale zmieniłem podejście. Zmniejszyłem etat, co jest dla mnie pierwszym krokiem ku temu, aby dzielić pracę zawodową z pracą pisarską i spełnianiem marzeń. Powiem Wam, że jak dostałem, chociaż te trzy godziny dziennie dodatkowo, to już jest znacznie lepiej. Jestem w stanie zrobić coś więcej, niż jak pracowałem na pełnym etacie, a także i moja pewność siebie podskoczyła, mimo że teoretycznie na mojej pracy wyszedłem chwilowo znacznie gorzej pod względem finansowym.

Także na wszystko są sposoby i możliwości, tylko trzeba chcieć, a skoro o chęciach mowa, to również i odżyłem do działania, ale mam wrażenie, że powinienem przemyśleć promocję swojej marki pisarskiej. To jest kolejna kwestia, z którą chciałbym się z wami podzielić, a mianowicie marketing.

W pracy samowydawcy jest tak, że pisarz oprócz tworzenia kolejnych powieści, opowiadań, historii, publikacji etc. jest również pierwszym promotorem swoich treści. Tylko co to oznacza? No właśnie, to jest dobre pytanie i z racji, że odpowiedź jest na to jeszcze prostsza, to zastanawiam się, czemu ja wcześniej na to nie wpadłem. Pisarz musi być widoczny jako pierwszy, kiedy promuje swoją twórczość. Tylko tyle i aż tyle.

To się zastanówmy, że skoro jest to takie proste, to czemu tak wiele osób ma z tym problem?

Powiedzmy to sobie wprost, marketing to nie jest proste zadanie i tutaj nie wystarczy tylko być. Trzeba wiedzieć, jak być i to właśnie słowo „jak" jest kluczowe i problematyczne, i mimo tego, że powstało już wiele publikacji na temat marketingu, czy promocji marki i to nie tylko pisarskiej, to zaznaczmy to dobitnie. Nie ma jednej skutecznej metody i każdy tę skuteczną metodę musi znaleźć dla siebie.

Właśnie też jestem na etapie jej poszukiwania. Dzięki temu coraz częściej słucham o promocji w mediach społecznościowych, w magazynach, w outdoorze, w radiu etc. I czy to pomaga, by zrozumieć, jaka strategia promocji jest dla mnie odpowiednia?

Zapomnijcie. Wręcz mam jeszcze większy problem, aby ją ustalić, a co gorsza dobijam się tym, że za mało robię, żeby moja marka stała się atrakcyjna. W takim razie nie czytać? Nie poznawać? Nie interesować się nowinkami ze świata reklamy? To również gwóźdź do trumny. Zatem czego bym nie wybrał, będzie źle. Nie da się nie przejmować, kiedy brak zamówień w sklepie woła o pomstę do nieba, a gdy patrzysz na konto, widzisz wielkie zera. Jeśli ktoś ma stalowe nerwy na tyle, że umie się wtedy nie przejmować, to serdeczna prośba o radę.

Jednak próbuję. Staram się znajdować swoją niszę i swoją metodę promocji, chociaż zastanawiam się, czy nie powinienem się zwrócić z tym do fachowca. Niby pracuję w marketingu i coś o tym powinienem wiedzieć, ale ja pracuję tylko z kampaniami płatnymi i to na platformach społecznościowych, a to, wierzcie mi, nie za wiele daje, o czym się przekonałem, gdy promowałem powieść *Gary & Litin: Maroszek*.

Słyszeliście o niej? Nie musicie mówić, znam odpowiedź.

Zastanawiałem się, czy fachowiec by mógł pomóc, nawet zakupiłem niektóre kursy, aby poznać ten świat marketingu od podszewki, i będąc szczerym, to mam wrażenie, że wyrzuciłem pieniądze w błoto. Wybaczcie, ale nie jest to dla mnie atrakcyjne, jak mam nazwę kursu: zdobądź swój pierwszy milion wyświetleń na TikToku, a w kursie mam informację, w jaki sposób ustawić TikToka. Nosz kuźwa, normalnie strojenie sobie żartów ze mnie i z mojej kasy. Drugi kurs, jaki kupiłem, to jak ustawić reklamy na FB Ads, aby przynosiły efekty i jedyny efekt, jaki odczułem, to... wkurwienie, bo marketingowiec mówił mi o tym, jak wygląda panel reklamowy. Mam z tym do czynienia codziennie, więc wiem, jak wygląda, potrzebuję wiedzieć, jak skutecznie ustawić reklamy, co też było tematyką kursu.

Od tej chwili przestałem kupować, ponieważ odnosiłem głębokie wrażenie, że te kursy służą tylko po to, aby wyciągnąć pieniądze z mojego portfela. Nie neguję wiedzy ich marketingowca, bo niektórzy nawet szybko osiągnęli status bestsellera dla swoich publikacji biznesowych i to w przedsprzedaży, więc nawet jeśli mnie nie pomogli, to jednak pomogli dużej liczbie użytkowników.

Ale problem pozostał, więc jak sobie z nim radzę? Nie radzę, raczej wegetuję, aby skupić się na czymś, co

pragnę robić, czyli pisaniu. Rozpoznawalność wykuje się w boju przez pot, łzy i krew.

Myślicie, że piszę powieści, aby być sławnym? Tak często o tym wspominam, że można tak pomyśleć, ale powiem wam, że nawet jeśli, to nie mam w związku z tym żadnych wyrzutów. Każdy powód do pisania jest dobry, a skoro jednocześnie Wy będziecie mogli przyjemnie spędzić czas nad moją powieścią, to ja nie mam z tym żadnego problemu.

Pewnego dnia zastanawiałem się nad tym, dlaczego piszę. Było to w okresie, kiedy ocierałem się o depresję i wszystko przestało mieć dla mnie znaczenie, nawet to, że na rynku były już dwie powieści: *W drodze do wolności* i *Gary & Litin: Maroszek*. Właśnie wtedy przeprowadziłem jedno spotkanie autorskie i zrozumiałem, dlaczego chcę to

robić. Piszę dla takich spotkań z czytelnikami. Wtedy wychodzi ze mnie wulkan energii, a każde takie spotkanie, w którym dostaję pytanie od czytelników o twórczość, wywołuje we mnie ogromne pokłady radości i daje kopa motywacyjnego do dalszego działania.

W poprzednim roku przeprowadziłem trzydzieści siedem spotkań autorskich i nie ukrywam, że chciałem ich więcej. Niestety pojawiły się tutaj kwestie, na które nie miałem wpływu. Najczęściej spotkania odbywały się w bibliotekach, więc brałem telefon do ręki i dzwoniłem do każdej z nich, aby móc je przeprowadzić i wtedy zaczęły się schody. Najczęstsze odpowiedzi, jakie otrzymywałem to: brak budżetu na spotkania, zaplanowany harmonogram, nikt nie przychodzi, czy nie mamy miejsca na takowe spotkania. Początkowo myślałem, że trafiłem na pechowe placówki, ale gdy przedzwoniło się prawie całe województwo, to jakoś musiałbym mieć wyjątkowego pecha, aby każda z nich taka była.

Pamiętam, napisałem w tej sprawie do Krzyśka Piersy, który wręcz organizuje spotkania autorskie jedno za drugim. Potrzebowałem zrozumieć, co takiego robię źle. Jego odpowiedź mocno na mnie podziałała, ponieważ... okazało się, że wszystko robiłem w porządku.

To skoro wszystko robiłem w porządku, to w czym tkwił problem?

Dopiero uprzytomniłem sobie, jak jedna z bibliotek powiedziała mi, że... nie mają moich powieści na stanie. Skąd mają mnie znać, skoro nie mieli moich powieści w katalogu? To mi dało do myślenia, więc starałem się z kolejną powieścią o szeroką dystrybucję i... wtedy pojawił się problem. Kontaktowałem się z Platonem czy Azymutem i jak pierwszy wprost mi powiedział, że nie widzi we mnie potencjału i nie nawiąże współpracy, tak drudzy całkowicie zlali i nawet przez pół roku nie odbierali ode mnie telefonu.

Wtedy przyznaję, że mocno się dobiłem. Nie dość, że nie jestem znany, to też nie dostałem szansy, aby nim być, więc, tak czy inaczej, jestem zdany tylko na siebie. Niby wiedziałem o tym od zawsze, ale czasami boleśnie jest się o tym przekonać.

Wiem, że wywód ten ma pesymistyczny nastrój, bo momentami mam wrażenie, że nie rozumiem tego rynku. Nie mam problemów, żeby poznawać go i chciałbym odkryć jego wiele tajemnic, które przede mną skrywa. Wiem również, że w trakcie promocji dwóch pierwszych powieści popełniłem szereg błędów, które ciągną się za mną do teraz i mnie sporo kosztowały. Wywoływały u mnie wiele pesymistycznych myśli i dochodziłem do wielu negatywnych wniosków, ale…

Dość już z tym pesymizmem!

Gdyby rzeczywiście było tak źle, to nie wydałbym w tym roku *Garego & Litina: Order Cyncynata* ani nie myślałbym o wypuszczeniu na rynek jeszcze jednej powieści. Świat się zmienia, a ja razem z nim. Również zmienia się pisanie, promowanie swojej twórczości czy siebie, a także wiele rzeczy z życia codziennego, do którego byliśmy przyzwyczajeni.

Więc… Kamilu, więcej optymizmu i zmień swoje myślenie.

Chciałem tu pokazać, jak dużo my pisarze samowydawcy poświęcamy i dajemy od siebie, żeby powieści od nas zakupione były jedyne i niepowtarzalne.

Zatem: Do zobaczenia na kartkach powieści.

Kamil Sobik – ur. w 1991 roku, debiutował na rynku powieścią *Gary & Litin: Maroszek*. *Order Cyncynata* jest już jego trzecią powieścią, a następne czekają w kolejce do wydania. Prowadzi blog pisarski segeworld.pl, gdzie udostępnia krótkie opowiadania fantasy, sensacyjne i nawet historyczne. Na co dzień reklamodawca w mediach społecznościowych oraz entuzjasta gier komputerowych.

Słowo dali

Redaktor Naczelny

Mateusz R.M. Rogalski – autor powieści fantasy *Obrońcy Ahury* i bajki *Zamki i Roboty*. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów Niezależnych „Samowydawcy", redaktor antologii *Własna ścieżka* i *Ślady na śniegu* i *Opowieści przy ognisku*..

Zastępczyni Redaktora Naczelnego

Monika Litwinow - kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*, Redaktorka Naczelna czasopisma „Zajęcia z Psem", właścicielka Centrum Terapii i Edukacji BAJARNIA.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
- Słowo osobiste
- Gra Słów

Izabela Redesiuk – optymistycznie nastawiona do świata kobieta z zamiłowaniem do tworzenia nowych światów i historii. Autorka powieści *Przepowiednia*.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
- Wysłowione
- Odmierzone słowami
- Innymi słowy

Klaudia Sypniewska – projektatnka logotypu czasopisma. Mieszka w internecie. Na co dzień tworzy content i działa jako social media manager. Tworzy, kreuje, projektuje. Jej pies Antek ponoć ma z nią za dobrze, ale jak sama mówi, cóż począć, skoro kocha psy.

Kamila Goszczyńska – absolwentka filologii angielskiej, nauczycielka, doula, technik weterynarii i pisarka. Autorka opowiadań, wierszy i trylogii fantasy Kwiat datury.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
- wywiady,
- recenzje

ŁAMANIE

Mateusz Cichosz – magik od składu książek. Pomaga self-publisherom w przygotowaniu ich książek do druku. Poza składem para się również konwersją do wersji elektronicznej (epub/mobi), dzięki czemu książki śmigają m.in. na Legimi czy Empik GO. Od niedawna oferuje również kompleksową obsługę (od redakcji aż po druk) jako *Studio Ale buk!*. Znajdziesz go na Instagramie: @magik.od.skladu.ksiazek

D.B. Foryś – z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, pisarz z zamiłowania. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.
W „Daję Słówko" dpowiada za:
- projekt okładki.
www.dbforys.pl

Redakcja

Janusz Muzyczyszyn – poeta, pisarz i redaktor. Pisze od sześciu lat i przez ten czas wydał trzy tomiki wierszy i trzy powieści obyczajowe, prowadzi również bloga.
W „Daję Słowo" odpowiada za:
- Słownik Autorów
- Słowa dobrane

Korekta i Redakcja pod nadzorem Janusza Muzyczyszyna

Jagoda Biszkont – absolwentka Akademii korekty tekstu. Z wykształcenia archeolog. Wykonuje redakcję i korektę tekstów przeznaczonych do publikacji.
www.kropkajagodabiszkont.pl

Katarzyna Mróz-Jaskuła – od wielu lat związana z branżą wydawniczą. Od ponad trzech lat prowadzi własne studio graficzne Wielogłoska. Zajmuje się projektowaniem, składem, korektą i przygotowaniem do druku książek.
www.wielogloska.pl

Alicja Szalska-Radomska – redaktorka, korektorka i recenzentka. Uzależniona od literatury, filmu i gier. Zaczytuje się w bajkach, komediach i fantastyce.
alicja@pracowniamuz.pl

Aleksandra Wołosiuk-Burda – korektorka, redaktorka, ciepła dusza
awolosiukburda@gmail.com

Ewa Hoffmann-Skibińska – redakcja, korekta, copywriting
ewa-skibinska@wp.pl

Edyta Patrzałek – redaktorka, korektorka
edyta.patrzalek.1@gmail.com

Anna Michalik-Czarnecka – miłośniczka literatury, mama czwórki dzieci, mgr filologii polskiej UWr, prowadzi własny biznes, recenzuje książki na IG: @aniaiksiazki

Dołącz do Patronów https://patronite.pl/dajeslowo PATRONITE